MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 20. WARSZAWA, 1 MAJA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

EGOIZM ZORGANIZOWANY

W ROKU ubiegłym zamieściłem w „Myśli Narodowej“ artykuł, poświęcony zagadnieniu wpływu zmian ustroju gospodarczego na obecne przesilenie. Broniłem poglądu, że obecny rozwój organizacyj, monopolizujących pracę i produkcję, wpływa na przedłużenie i zaostrzenie kryzysu ekonomicznego, mającego zresztą także inne źródła, natury walutowo-kredytowej oraz polityczno-gospodarczej — jak dążenie krajów zamorskich do rozwoju własnego przemysłu Opinja ta ostatnio zjednuje sobie coraz więcej zwolenników u nas i zagranicą.

Przemysł skartelizowany, ograniczając wytwórczość dla utrzymania cen, ogranicza ilościowe możliwości zbytu. Podobnie związki zawodowe, ograniczając spadek płac, wpływają na zmniejszenie zapotrzebowania na pracę. Rażące są wśród ogólnego przesilenia wysokie wynagrodzenia kierowników wielkich przedsiębiorstw skartelizowanych, których nieznaczne obniżenie, ostatnio przeprowadzone, nie odpowiada jeszcze potrzebom chwili.

Mamy oazy pomyślności wśród ogólnej nędzy. Przemysł cukrowniczy, jak powiadają jego skromni kierownicy, „dzięki wzorowej organizacji“, trzyma się stosunkowo nieźle na powierzchni. Podobnie ma się rzecz np. z naftą. Naiwni ekonomiści urzędowi świeżej daty wyciągają z tego wniosek, że należy przeprowadzić podobną „wzorową organizację“ innych dziedzin wytwarzania, by usunąć kryzys.

Charakterystyczną cechą ludzi, którzy bez znajomości podstawowych zasad nauk ekonomicznych usiłują normować stosunki gospodarcze, jest zupełne niezrozumienie bardziej skomplikowanej, ukrytej, pośredniej współzależności zjawisk. Widzą oni tylko pewne elementarne objawy i powierzchownie je sądząc, chcą — rządzić. Przypominają tych dawnych lekarzy chińskich, którzy stawiali djagnozy i kurowali pacjentów na podstawie — wyrazu ich twarzy. Istnieją w rządzie, i to na bardzo wpływowych stanowiskach, ludzie znani kiedyś z sympatyj socjalistycznych. Niezbyt dawno pisano o jednym, którego książkę w języku rosyjskim wydano w r. 1919 w Moskwie z przedmową Mołotowa, jednego z późniejszych twórców planu pięcioletniego. Rzecz charakterystyczna, że właśnie ta grupa w rządzącym obozie patrzy radosnem okiem na rozkwit kartelizacji. Czyżby uważała ją za dobre przygotowanie do gospodarki w pełni „związanej“, socjalistycznej, i dlatego życzliwem okiem patrzała na organizowanie karteli? Naszym obowiązkiem jest baczyć na to, co się dziś dzieje w gospodarce narodowej, i dlatego musimy bez żadnych ubocznych względów zanalizować to zagadnienie.

Jeżeli jakaś grupa chce drogą sztuczek organizacyjnych zapewnić sobie niezmniejszone zyski, musi pójść bądź drogą ograniczenia dostarczanych na rynek ilości towarów (kartele), czy usług (organizacje pracy), bądź też stosować przymus (biurokracja państwowa i samorządowa). Kartele mogą zapewnić sobie większy udział w dochodzie społecznym przez podniesienie cen. Może to być także względne podniesienie cen, t. j. utrzymanie ich na dawnym poziomie, gdy wszystko tanieje. W każdym razie musi ulec ograniczeniu wytwórczość i zbyt. Niewiadomo, czy ta droga jest dla samych

karteli na dłuższą metę celowa. Wszak koszta stałe obciążają wówczas mniejszą wytwórczość, czyli stosunkowo rosną. Nabywcy niewątpliwie tracą i robotnicy też, bo są redukowani. Przy postępie technicznym staje się możliwe ograniczenie udziału pracy ludzkiej w wytwórczości. Ekonomika (naturalnie nie mówię tu o specjalnych odmianach tej nauki, jak np. ekonomika urzędowa, kartelowa i t. p.; mówię o ekonomice *tout court)* oddawna już wywypowiada pogląd, że właściwie na dłuższą metę nie może to powodować zwiększenia bezrobocia. Z potanieniem produkcji rośnie spożycie, tworzą się nowe potrzeby. Ale trzeba na to, by nie tylko potaniała produkcja, ale także wytworzony towar. Jeżeli to nie nastąpi, bezrobocie rośnie— i tak jest dziś. Skutkiem bezrobocia jest znowu ograniczenie zbytu. Drugi koniec kija zaczyna bić wytwórczość. Przedewszystkiem jednak tracą wskutek kartelizacji te dziedziny życia gospodarczego, które zorganizować się nie potrafiły. Sztuczne bowiem podniesienie cen pewnego artykułu ogranicza rynek zbytu na inne. Szkody, wyrządzone całemu życiu gospodarczemu, zwracają się z czasem przeciwko winowajcom.

W ustroju gospodarczym XIX wieku nie liczono się z możliwością takich przeszkód, hamujących rozwój gospodarczy świata. Wielki rozwój techniki, a zwłaszcza eksploatacja krajów zamorskich, dawały dostatecznie wielkie zyski Europie. Wierzono święcie w teorję o zasadniczej zgodności interesu materjalnego jednostek z interesami ogółu. Producent, który chce robić dobre interesy, musi dawać tanio dobry towar, kupiec musi stosować zasadę „duży obrót—mały zysk“. W przeciwnym razie muszą ulec w walce konkurencyjnej. Zasadzie wolnej konkurencji zrobiono jednak stanowczo zbyt wielki zaszczyt. Była ona podstawą swoistego systemu indywidualizmu materjalistycznego, mającego rzekomo zapewniać wszystkim dobrobyt wraz z wszelkiemi zdobyczami wynalazczej techniki. Fetysz wolnej gry interesów stał się kiedyś surogatem wszelkich zasad etycznych w życiu gospodarczem. Zbyt łatwo jednak można „wolną konkurencję“ usunąć, by nadawała się ona do tej wielkiej roli. Tego nas uczy wiek XX.

Trudno powiedzieć, zwłaszcza dziś, gdy widzimy ujemne skutki gospodarki „związanej”, że ustrój wolnokonkurencyjny był sam w sobie zły. Chodzi raczej o to, że w okresie liberalizmu starano się uzasadniać wartość społeczną etyki, opartej na przesłankach wyłącznie utylitarnych. Wierzono w „system“ tak samo naiwnie, jak w swój, wprost przeciwny „system“ socjalistyczny wierzą marksiści. Dziś wolnej konkurencji niema, jej okres pozostawił nam jednak w spadku spustoszenia umysłowe i moralne.

Ludzie albo nie umieją wcale myśleć, albo myślą kategorjami czysto liberalnemi w ustroju, którego „liberalnym“ nazwać już nie można. Niegdyś uważano, że materjalistyczny egoizm w rozsypce, czyli w ustroju liberalnym jest nieszkodliwy, a nawet pożyteczny. Obecnie egoizm zorganizował się i doktryna o zasadniczej zgodności interesu jednostek z interesem ogółu straciła swój sens.

Przecież tak łatwo zrobić jakąś „organizację“, która bez żadnej wolnej gry interesów, a właśnie przez jej usunięcie, zapewnia sobie duże zyski. Duże, ale jakże krótkotrwałe. Nieuchronnem następstwem zorganizowanego egoizmu musi być przedłużenie się w nieskończoność przesilenia. Nie widać gdzieś „automatyzmu” gospodarczego, mającego nas znów prowadzić do pomyślności.

Tem tłumaczy się dzisiejsze przesilenie i tu tkwi jego głęboko ukryta przyczyna. I dlatego słusznie Roman Dmowski podkreśla, że przesilenie gospodarcze nie jest zjawiskiem oderwanem. Łączy się ściśle z ogólnym upadkiem kulturalnym Zachodu.

AD. B.

MYŚL RASOWA W SZWECJI

ZANIM przejdę do treści artykułu, zapowiedzianej przez tytuł, chciałbym zwrócić uwagę czytelników na pewne momenty natury ogólniejszej, związane jednak ściśle z przedmiotem. Chcę mianowicie podkreślić, że myśl rasowa czy też ruch rasowy jest i musi być zawsze w służbie jakichś konkretnych interesów politycznych. Myśl nie koniecznie w takich razach musi się przejawiać w formie pozytywnej, jak to jest w wypadku omawianego przezemnie na łamach „Myśli Narodowej“ niemieckiego ruchu nordycznego. Czasem myśl rasowa pracuje metodami, że tak powiem, negatywnemi. Robi się wtedy mianowicie wszystko, aby zatrzeć wszelkie ślady istnienia rasowego zróżnicowania ludzi. Tak n. p. przez pewien czas działali Żydzi. Krajem, gdzie myśl rasowa doszła najbardziej do wpływów na życie, i to życie zarówno dnia powszedniego, jak też życie społeczno-polityczne, są Stany Zjednoczone. Stało się to mimo działających tam silnych wpływów żydowskich. Stało się zaś to tylko dlatego, że Stany Zjednoczone zmuszone są bronić swej jedności państwowej i narodowej przez infiltracjami murzynów oraz imigrantów, nie należących do anglosaskiej grupy rządzącej. Nie bez wpływów też na „rasizm“ amerykański jest obawa przed „żółtem niebezpieczeństwem“, mająca, jak ostatnie wypadki w Azji wykazały, podstawy wcale realne. Te to konkretne kłopoty polityczne rodzą zarówno ustawodawstwo imigracyjne, jak też działalność „Ku-Klux-Klanu“, czy literaturę typu książki Stoddarda.

Niemiecki ruch nordyczny, w odróżnieniu od defensywnego „rasizmu“ amerykańskiego, jest ruchem nawskroś ofensywnym, nietylko w swym typie psychicznym i socjologicznym, ale także w swych założeniach, celach i rachubach. Chce on nie tylko

zebrać nabytki ekspansyj szczepów germańskich, ale także zagarnąć możliwie wiele, przedewszystkiem na wschodzie. Stąd szczepienie tego ruchu planowe i systematyczne w rozmaitych krajach. Dotychczas zdołano, jak już poprzednio donosiłem, zaszczepić ruch nordyczny dość silnie w Danji i Norwegji, gdzie też powstały odpowiedniki hitleryzmu w formie partyj czy też organizacyj narodowo-socjalistycznych.

Przyszła też kolej na przeszczepienie ruchu nordycznego do Szwecji. Pisze o tem dr. H. Eckardt[1]) w czasopiśmie *„Die Sonne"*. Na samym wstępie autor podkreśla trudności, piętrzące się przed ruchem nordycznym w Szwecji. Największą trudnością jest fakt, że Szwecja jest pod względem rasowym krajem najbardziej nordycznym w Europie. Hasła tedy obrony rasy nordycznej nie animują tak Szwedów, jak to ma miejsce z Niemcami. Ostatecznie jednak znalazła się grupa ludzi, z inż. K. E. Carlbergiem na czele, która przejęła się myślą nordyczną. Carlberg zaczął od organizowania młodzieży w tak zwane *„Gymn - Clubbs"*. Celem ich było oddawanie się ćwiczeniom cielesnym, ideałem zaś wyrobienie charakteru, zdrowia i piękności u członków klubów. W ostatnich czasach związek owych klubów przejął się ideologją nordyczną i tak powstał ruch „gymniczno-nordyczny". Określenie „gymniczny" wprowadzono przytem nie tylko ze względów historyczno-tradycyjnych, uzewnętrzniających to, że szwedzki ruch nordyczny wyszedł ze wspomnianych klubów gymnicznych, ale też i dlatego, że przymiotnik *„nordisk"* stał się ulubionym składnikiem nazwy rozmaitych firm żydowskich w Szwecji. Ruch nordyczny w Szwecji dysponuje ładnie wydawanem czasopismem *„Gymn"*.

Tak powstały ruch nordyczny, nie zaniedbując dawniejszej pracy na polu wychowania fizycznego, wysunął następujące cele: Propagować w najszerszych warstwach wiadomości o szwedzkiej, nordycznej kulturze, nordycznej rasie i nordycznej religji; popierać pracę w duchu nordycznym w kulturze ciała, sztuce, muzyce, literaturze, wiedzy, filozofji i religji; organizować zdolną do walki młodzież szwedzką, tworzyć z niej elitę, opartą o hasła gymniczne i nordyczno-rasowe. W czasopiśmie *„Gymn"* te ogólne cele i zadania, dążące do nordycznego odrodzenia zarówno w zakresie rasowym jak też kulturalnym, omawiane są szczegółowiej. Z cytowanego artykułu wynika, że i szwedzki ruch nordyczny specjalną pieczą otacza chłopów. Ruch jako taki jest bardzo w Szwecji młody, sięgający zaledwie 1930 roku.

Tyle autor artykułu, Niemiec, jeśli idzie o narodowość. Nas tutaj zaciekawia pewne specjalne zagadnienie. Podkreślić bowiem należy, że w Szwecji nie pojawił się narazie w zupełności czynnik polityczny, wiążący się z niemieckim ruchem nordycznym, jakim jest narodowy socjalizm—jak to miało miejsce w Danji i Norwegji. Pozatem nie wysunięto tam hasła rzeszy nordycznej. Zachodzi zatem pytanie, czy jest to tylko rezultatem młodości tej szczepionki w Szwecji, czy też ten szwedzki charakter tamtejszego ruchu ma głębsze podstawy. Wiemy co prawda, że zarówno w Danji jak też w Norwegji ruch rasowy poprzedzał akcję polityczną. Być może, że to samo nastąpi w Szwecji. Z drugiej jednak strony, nawet polskie dzienniki bodaj dwukrotnie w ostatnich dniach donosiły o niepowodzeniach niemieckich narodowych socjalistów na terenie Szwecji. Rządowe czynniki szwedzkie poprostu przepędzały niemieckich emisarjuszy. Jeśli się jeszcze weźmie pod uwagę fakt, że chorąży niemieckiego ruchu nordycznego prof. Günther często przebywał w Szwecji, to wypranie ruchu nordycznego w Szwecji z momentów politycznych może być bardzo symptomatyczne. Czy przypadkowo Szwedzi, naród wielki, o dużej tradycji i większej samodzielności kulturalnej, aniżeli Duńczycy i Norwegowie, nie poznał się na tem, że ideologja nordyczna, zastosowana konsekwentnie i skutecznie w życiu, grozi zagładą sąsiednim, słabszym od Niemiec narodom? W tem świetle dalszy rozwój nordycznego ruchu w Szwecji będzie bardzo ciekawem zjawiskiem, zwłaszcza, że Niemcy nie ustaną w staraniach, aby wytworzyć i pogłębić filoniemieckie prądy w Szwecji. Już dziś przecie *„Nordischer Ring"* w Berlinie organizuje, podobno na prośbę Szwedów, wymianę listów pomiędzy młodzieżą szkolną obu narodów w wieku 12 — 14 lat.

KAROL STOJANOWSKI

[1]) Eckardt H. *„Der nordische Gedanke in Schweden"* Weimar, 1932. *„Die Sonne"* zesz. 2 str. 49-52.

POLITYCZNY WIERSZ MASOŃSKI Z CZASÓW SEJMU CZTEROLETNIEGO

W TRAKCIE długotrwałych rozpraw Sejmu Czteroletniego w 1789 r. nad podatkami, które wyszukiwano na pokrycie budżetu wojskowego, dotarto wreszcie do jednego jeszcze źródła: był niem majątek Zakonu Maltańskiego w Polsce. Debaty nad podatkiem z dóbr maltańskich doprowadziły do osoby głównego „machera" sejmu podziałowego — podskarbiego Adama Łodzia Ponińskiego, który się dobrze w swoim czasie obłowił majątkiem zakonnym. Na posiedzeniu sejmowem 5 VI 1789, W. Suchodolski, poseł chełmski, znany krzykacz sejmowy, wytoczył przeciw Ponińskiemu ciężkie zarzuty, domagając się, aby ten, który „był sprawca nieszczęść ojczyzny i partykularnych obywateli, zanim stanie przed sądem, któryby należało wyznaczyć, tymczasem od wszelkich zaszczytów i dostojeństw został usunięty"[1]) W gorącej dyskusji, jaka się wywiązała wokół osoby Ponińskiego, przeważyła obciążająca podskarbiego opinja Suchodolskiego, wbrew stanowisku Czartoryskiego i samego nawet króla: 8 VI 1789 zainstalowano w mieszkaniu aresztowanego Ponińskiego oficera i 12 żołnierzy. Suchodolski i niemniej od niego gorliwy krzykacz sejmowy Suchorzewski, poseł kaliski, ofiarowali się na delatorów oskarżo-

[1]) Kalinka. „Sejm Czteroletni" 1895. T. I. str. 572.

nego, gotowi nawet pójść do więzienia. Izba wprawdzie nie przyjęła oferty swych posłów, delator jednak znalazł się rychło z pośród arbitrów sejmowych: był nim Wojciech Turski, szambelan królewski, którego sylwetkę jaskrawą a wysoce niepochlebną dał Niemcewicz[2]). Turski ogłosił się 15 czerwca w gazetach delatorem, żądając dostarczania sobie wszelkich dowodów winy oskarżonego Ponińskiego[3]). Uzbierawszy z wielką łatwością sporo tych dowodów, wystąpił Turski z oskarżeniem przed delegowanym przez sejm kompletem sędziowskim na posiedzeniu 26 VIII 89 r. Oskarżycielska mowa Turskiego obliczona była nietyle na potępienie Ponińskiego, którego zresztą delator nie oszczędzał, ile na zyskanie szumną retoryką łask szerokiej publiczności. Przypomnieć należy, że Poniński zasiadł na ławie oskarżonych nietylko jako zdrajca ojczyzny, lecz również jako krzywdziciel ograbionej przez się—już po sejmie podziałowym — dzięki niesumiennym spekulacjom licznej rzeszy szlacheckiej. Mowa sierpniowa Turskiego była demagogiczna, ale demagogja była dobrze wymierzona nietylko w serca patrjotów, lecz również w kieszeń pokrzywdzonych. Demagogiczną być musiała, gdyż Turskiemu chodziło gwałtownie o pozyskanie popularności u publiczności. Na efekt nie czekał zbyt długo, przekonać się mógł jednak, że popularność może mieć czasem podwójne oblicze.

Turski-delator i patrjota zyskał uznanie poety[4]), który postawił Turskiego w rzędzie uznanych jako „poczciwych Polaków“: Małachowskiego, marszałka sejmowego, Chreptowicza, Niemcewicza, a co ważniejsze, Ignacego Potockiego.

Ignacy Potocki, stał już podówczas na czele „patrjotycznego“ stronnictwa sejmowego. Jednocześnie jednak zwaliło się na głowę biednego delatora sporo kłopotów, z których spowiada się w drugiej swej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu sądów sejmowych 7 grudnia 1789 r., a posiadającej dla nas już większe od poprzedniej znaczenie. Mowę tę Turski wydrukował, zaopatrując ją w bardzo wymowny tytuł: Odwołanie do Narodu[5]). Przed sąd tego oto narodu przedkłada autor swe krzywdy i skargi, domagając się zadośćuczynienia i obrony „własności, droższej nad życie: sławy swojej“. Nie wiemy bliżej, jakiego to rodzaju zarzuty, dyfamujące Turskiego, wysunięto i kto je wysunął. Domyślać się jednak można, znając jego nieszczególną przeszłość, zarówno treści dyfamacyj, jak ich sprawcy. Musiano przypomnieć społeczeństwu, że na rolę delatora, wymagającą przedewszystkiem prawości charakteru od kandydata, nie bardzo się nadawał człowiek, zmieniający swe przekonania zależnie od okoliczności życiowych, przechodzący, zależnie od okazywanych mu względów pieniężnych, od obozu do obozu, zausznik najpierw, jak go nazywa Niemcewicz, brata królewskiego, księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, który wyrobił Turskiemu szambelanję z odpowiadnią pensją, potem stronnik i adlatus hetmana polnego Rzewuskiego, kiedy mu zniecierpliwiony Poniatowski drzwi ukazał. Domyśleć się również łatwo, kto był dyfamatorem Turskiego: byli nimi niewątpliwie adherenci obozu królewskiego. Usiłuje więc Turski w mowie swojej podreperować nadszarpniętą swoją sławę, wybielić swą zacność patrjotyczną,—w mowie, będącej ciekawym dokumentem tromtadrackiej retoryki, podszytej mocno kabotynizmem. Czyni to dosyć sprytnie, przypominając dzieje swego delatorstwa i gęsto szpikując mowę dobranemi do okoliczności, przemawiającemi do uczucia patrjotycznego słuchaczy przykładami z historji Rzymu. Oto pierwszy: „Rzym znalazł przecież w sobie Kassjuszów, Brutusów, którzy już samowładnie prawie nad upodlonym narodem przewodzącej przemocy śmiały, straszny i pamiętny dali odpór“[6]). Rozumiemy, że Brutusem polskim, który dał odpór przemocy rosyjskiej w Polsce, jest sam Turski, delator Ponińskiego, tem bardziej, że nieco dalej niedwuznacznie napada on na prokonsula-Stackelberga, rządzącego się arbitralnie w polskiej prowincji. Unieszkodliwienie jednak Ponińskiego, dokonane przez Turskiego, jest dopiero początkiem pracy, jakiej dokonać należy, aby Polskę uniezależnić od Rosji.

Orator sejmowy woła przeto: „Oprócz tego, którego ja do sądu powołałem, są jeszcze inni, którzy niemniej, jak ten, na podobną narodu zasłużyli surowość... sprawiedliwości wyroku waszego nie uszedł Katylina, ale Kurjusze, ale Porcjusze, Sylle, Celejowie, Autronjusze, Wargontejusze, Longinowie, Lentulusowie i inni szkodliwi obywatele i towarzysze Katyliny nienaruszonymi zostali“.

Turski usiłuje ugodzić w całą partję rosyjską w Polsce, na której czele stała potężna wolą i wpływami, a przeto tem więcej przez „patrjotów“ znienawidzona jednostka—hetman koronny Branicki. Jak z powyższego widać, Turski należy do zdecydowanych przeciwników Rosji. Z mowy jego jednak da się wyczytać więcej, a mianowicie, że należał on do tego stronnictwa w Polsce, które w okresie Sejmu Czteroletniego wyraźne antypatje rosyjskie łączyło z niemniej wyraźnemi sympatjami pruskiemi, a które nosi nazwę podwójną patjotyczno-pruskiego. Prusofilizm Turskiego widoczny jest z tego ustępu mowy, gdzie Turski oburza się na ministra francuskiego Ségura, który w przejeździe przez Warszawę z Petersburga do Francji ośmielił się szydzić z Polaków za to, że ci pozwolili sobie „bratać się z drugiemi narodami (czytaj: Prusakami) i posłów do nich wysłali“[7]). Nic też dziwnego, że Turski nie może przeboleć sądu Fryderyka o Polakach, zawartego w liście tego króla do jednego z akademników paryskich, w którym „ten tak wielki, tak sławny, tak od świata wielbiony“ nazwał Polaków „narodem ze wszech miar wzgardy godnym“.

To wszystko, co się da powiedzić o stanowisku Turskiego w stosunku do zagranicy.

Niemniej ciekawym jest pogląd Turskiego na stosunki wewnętrzne Polski. Doszukując się przyczyn ostrego sądu fryderykowskiego o Polakach, uznaje sąd ten za słuszny, roztoczywszy przed słuchaczami ujemny obraz polskiej rzeczywistości wewnętrznej.

---

[2]) Niemcewicz. „Pamiętniki czasów moich“. 1868 str. 107-109.

[3]) Kraszewski „Polska w czasie 3 rozbiorów“. 1902 T. II. str. 170.

[4]) Zabłocki. „Pisma“. 1903 str. 188.

[5]) Mowa ur. Wojciecha Turskiego na sądach sejmowych, dn. 7 grudnia 1789 miana. Bibl. Ord. Krasińskich N. 19577.

[6]) *Op. cit.* str. 18.

[7]) Mowa str. 24.

„Przykry to będzie i dolegliwy wykład rzeczy" — woła mówca—„ale ja sądzę, że go tak naród odemnie przyjmie, jak człowiek, śmiertelnemi ranami okryty, przyjmuje na uzdrowienie jego od lekarza czynione bolesne dotknięcia. Syka ranny, ale się nie gniewa, ale potem dziękuje, bo to, co go zrazu bolało, przyszłe obiecuje mu uleczenie"[8]). Zabawiwszy się w chirurga, zagłębia Turski swój lancet w mniej lub więcej zastarzałe rany narodowe. I tu, rzecz charakterystyczna, zjawia się u Turskiego nader trafna analiza wewnętrznych niedomagań naszych, które stanowiły przedmiot troski i podstawę programu naprawy Rzeczypospolitej stronnictwa patrjotyczno-pruskiego. Zgodność jest uderzająca.

Mamy więc i utyskiwania na niesłuszny wymiar sprawiedliwości przez trybunały, wadliwy ustrój sejmu (atak zresztą dość powierzchowny) i sejmików (przewaga magnaterji), i napaść na znienawidzoną przez „patrjotów" Radę Nieustającą, która była przez czas długi narzędziem polityki rosyjskiej w Polsce, i skargi na nierzetelne i nieprawidłowe funkcjonowanie komisyj skarbowych, i gromy na nierząd obyczajowy w Polsce, jak niezgodę, przedajność (oczywiście: adherentów rosyjskich). Litanję skarg Turskiego kończy stara bolączka krajowa, ujawniająca się w jaskrawej formie podczas Sejmu Czteroletniego: brak egzekucji uchwalonych podatków. Przegląd „grzechów" narodowych kończy Turski, drapujący się w powagę Skargi (warto podkreślić w jego mowie wyraźny zupełnie pod względem stylizacji wpływ kazań skargowskich), efektownem, lecz i trafnem wezwaniem do narodu: „W was samych jest przeszkoda naprawy"[9]).

Zważywszy wszystko, dojść należy do przekonania, że mowa Turskiego jest wykładnikiem dążeń stronnictwa patrjotycznego, wyrazem programu tej partji zarówno w zakresie polityki zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Sprawę Ponińskiego postanowiono niewątpliwie w tem stronnictwie wyzyskać dla propagandy swojego programu politycznego, a samego delatora, będącego li-tylko echem haseł partyjnych, wykorzystano jako zwykłe narzędzie tych haseł. Turskiemu mogło się tylko wydawać, i napewno mu się tak wydawało, że wykrzykuje osobiste poglądy, zdobywając sobie w ten sposób upragniony rozgłos.

Popularność chwilową niewątpliwie zdobył. Wskazaliśmy wyżej, jak pochlebna opinja spotkała Turskiego po jego mowie sierpniowej ze strony wybitnego poety politycznego — Zabłockiego. Podobne, lecz nierównie silniejsze echo wywołała jego mowa grudniowa.

Posiadamy oto wiersz, którego tytuł i treść nierozerwalnie łączą się z występem grudniowym Turskiego. Tytuł jego brzmi: „Do chambelana Turskiego z okazyi iego mowy ostatniey"[10]). Wiersz ten, niedrukowany dotychczas, podajemy *in extenso* nietylko ze względu na jego ciekawą treść, lecz i ze względu na piękną formę, zdradzającą autorstwo niepośledniego mistrza satyry politycznej.

---

[8]) Mowa, str. 24.

[9]) Mowa, str. 34.

[10]) Bibl. Ord. Krasińskich. Rkp: N. 3198. Teka 1, karty 43 — 44. Kraszewski (*op. cit.* T. II. str. 174) podaje urywek tego wiersza, nie podając źródła.

DO CHAMBELANA TURSKIEGO

Z OKAZYI IEGO MOWY OSTATNIEY

Gdy się w ciało zakrada śmiertelna gangrena,
Chambelanie! Cóż robią uczniowie Galena?
Uważaią iey stopnie, ieźli się zaczyna:
Przed żelazem y ogniem zabiega iey china.
Dopiero, gdy nad moc iey większa iest zaraza,
Wolno ręce chirurga wziąć się do żelaza.
Lecz y w ten czas, ostrożną ręką wiodąc sztuka,
Gdy tnie członki nadpsute, zdrowym ulgi szuka.
W tym ja właśnie przypadku, w tym choroby stanie
Naszą Rzeczpospolitą widzę, chambelanie.
Na zastarzały w ranach ogień nasz piekielny
Jedno tylko żelazo iest antydot dzielny.
Że ci miłość oyczyzny do rąk go podała,
Za ten dowód cnotliwy uwieńczy cię chwała.
Któż nas dźwignie, gdy nie my, Nas samych Polacy?
Lecz gdy cięższa twa ręka, acz w celach życzliwa,
Głębiey idzie, że ranny bólem się odzywa,
Niech cię to w przedsięwzięciu chwalebnym nie ziębi:
Nie to nas razi, żeś ciął, lecz to, żeś ciął głębiey.
Zły Adam, zły Ksawery, ależ są tysiące,
Równie iak Ty cnotliwych—serca cnotą tchnące.
Ieźli są między nami powietrza otchłanie,
Możnaż mówić: w Was wszystkich iest skaza, Rzymianie?
Jakżeż Ty, że iest kilku zdrayców, masz że za to
Twe szlachetne wnętrzności spruć, Utycki Kato?
Wreszcie, gdyby to było w swoich skutkach dzielnym,
Ja sam z Tobą za Rzym się dam Bogom piekielnym,
Ja z Tobą za Penatów moich ocalenie
Niewstrzymaną odwagą rzucam się w płomienie,
Ja, świadom zdrad Punickich y srogiey ich ręki,
Powracam iak Regulus na spodziane męki.
Lecz nie ten nasz przypadek: męczyć się dla nieba,
Dla oyczyzny odważnym, mężnym dziś bydź trzeba.
Co o nas rzekł Fryderyk, narodów oszczerca,
To dowodzi niechęci Iego dla nas serca.
Ten, acz wielki woiownik, tym słynąć nie będzie,
Że miał serce, iak trzeba na narodów sędzie,
A ieżli z którey, tedy z naszey granic strony
Ten wielki w swey wielkości znacznie umnieyszony.
Co rzekła nierostropność Segura szalona,
Z teyże on kruże iest, co są morderce Toulona,
Ztąd on jechał, zkąd na nas złość y zemsta w parze
Do dawnych krzywd naynowsze podała potwarze,
Ztąd on jechał, zkąd Tyran wschodni, pełen buty,
Zgrzyta na nas, łańcuchem Guilhelma przykuty,
Guilhelma, który gdy nam tak wspaniale sprzyia,
Wrócił nam wszystkie szkody, zatarł pamięć stryia.
Turski! Do tak wielkiego mówcy kiedy mówię,
Straszy mnie to, *ne ultra* rady na obuwie.
Nie wiem, iak cię daleko twa cnota uniesie,
Ale przestać na iednym nie możesz Werresie.
Werres nas wart y Werres iuż iest naszym ieńcem;
Lecz któż to siedzi, krwawym wśród nas znaczny wieńcem,
Kto to, obraz złey duszy, swe zwraca źrzenice,
Kogo ma na śmiertelne umieścić tablice?
Zły Werres, ale Sylla (twe powtarzam słowa)
Masz pod Sylli wyrokiem bydź Werresa głowa?
Turski! są między nami Sylla, Katylina!
Połączmyż się, Polacy, hasłem Tabalkaina,
Rzućmy młotki spokoyne wielkiego warsztatu,
A przez Krymskie sztylety daymy się znać światu!
Nie będzie szlachetnieyszy dla nas cel budowy,
Jak kiedy zdraycom z karku dumne zdeymiem głowy,
Nic więcey, chambelanie, iak trzy uderzenia,
A Polska iuż jest wolna od Syllów plemienia.

Wiersz powyższy, zgodnie z zapowiedzią, jest ścisłem nawiązaniem do mowy Turskiego: powtarza jego wyrażenia, całe nawet zwroty i obrazy, ujmując je w wykończoną, wycyzelowaną formę poetycką. W treści wiersza uderza zdecydowana, zdecydowańsza nawet niż u Turskiego, orjentacja polityczna pruska autora.

Ciepłe uczucie przyjaźni, jakie żywi autor dla Fryderyka Wilhelma, nie dziwi: całe stronnictwo patrjotyczne przepełnione niem było podówczas dla Prus, pod których opieką dokonała Polska heroicznego czynu, zabraniając wojskom Imperatorowej przemarszu przez terytorjum polskie, w drodze do Turcji.

Jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne, wyraźną jest aluzja wiersza do Branickiego, dziwną ironją wskazanego losem do sądów sejmowych, mających sądzić sprawę jego towarzysza politycznego — Ponińskiego. Branicki — to Sylla, wybierający swe przyszłe ofiary z pomiędzy „patrjotów".

Bliższych szczegółów, dotyczących genezy sympatyj polskich dla Prus, możnaby się doszukać w zakończeniu wiersza. Zakończenie to nabiera specjalnego znaczenia dla poezji polskiej XVIII w.

Wspomniane w niem hasło Tabalkaina (*recte* Tubalkaina), *mot de passe* wolnomularzy europejskich, „młotki spokojne wielkiego warsztatu", „budowa świata" wskazują na stylizację wiersza według żargonu masońskiego. Wiersz niewątpliwie pisany był przez masona, że — do masona, o tem wiemy, gdyż Turski posiadał w Wielkim Wschodzie Narodowym najwyższy, siódmy stopień wtajemniczenia[11]).

„Rozgałęziła się masonerja wśród sfer inteligentnych szeroko" — pisze historyk[12])—„stała się modą". Sam szef „patrjotów" Sejmu Czteroletniego, Ignacy Potocki był przecież do roku 1784 wielkim mistrzem Wielkiego Wschodu polskiego, twórcą i kierownikiem „Niewidzialnej i tajemnej Rady", najwyższej organizacji masonów polskich[13]). Masoni ci, jak stwierdzają badania ostatnie[14]), posiadali oddawna zupełnie określone koneksje polityczne, pozostając w ścisłych stosunkach z masonerją niemiecką, zwłaszcza pruską. Wszechmocny Brühl utrzymuje żywe stosunki z wybitnym masonem, premjerem drezdeńskim Manteufflem, a wielki mistrz polskiego Wschodu, Andrzej Mokronowski, był przecież kuchmistrzem nadwornym króla pruskiego. Po pierwszym rozbiorze wpływ poważny na loże polskie osiąga minister pruski Haugwitz, Ignacy Potocki utrzymuje ścisły kontakt z illuminatami monachijskimi. Koneksje masońskie polsko-pruskie ujawniły się podczas Sejmu Wielkiego.

Kiedy stronnictwo patrjotyczne, któremu przewodził I. Potocki, oświadczyło się wyraźnie za przymierzem z Prusami, następca jego na stanowisku wielkiego mistrza, kuzyn Ignacego, Szczęsny Potocki, musiał ustąpić ze swego stanowiska, jako stronnik Rosji. Rezygnacja Szczęsnego nastąpiła w styczniu 1789 r., po klęsce, jaką ponieśli w sejmie zwolennicy przymierza z Rosją. Widoczny jest więc związek między pracami masonerji polskiej i jej tendencjami politycznemi, a polityką zagraniczną Sejmu Czteroletniego, któremu ton nadawali „patrjoci". Zgadza się to z oświadczeniem kompetentnego historyka[15]), który pisze: „W tym czasie (t.j. w czasie Sejmu Czteroletniego) do Wielkiego Wschodu należeli wszyscy niemal najwybitniejsi zwolennicy reformy ustrojowej i wyzwolenia Rzplitej od wpływów rosyjskich. Roboty lożowe były też w ścisłym związku z akcją zarówno wewnętrzną, jak zagraniczną Sejmu Czteroletniego". Podobnie stawia sprawę poseł na Sejm Czteroletni, Michał Zaleski[16]). Zrozumiałe jest więc powyższe, przyjazne nader stanowisko względem Prus wolnomularskiego autora wiersza naszego, stojącego na gruncie ortodoksji politycznej całego obozu masońsko-patrjotycznego i, podobnie jak Turski w swojej mowie, realizującego postulaty polityczne wolnomularzy polskich.

Zachodzi obecnie ciekawe pytanie, kim jest autor tego wiersza, figurujący anonimowo w rękopisie cytowanym.

Autorstwo można ustalić tylko hypotetycznie, a to wobec braku wyraźniejszych danych. W ustalaniu osoby autora oprę się na analizie treści i formy wiersza. Jedno i drugie przemawia za hypotezą, że autorem naszego wiersza był najwybitniejszy satyryk z okresu Sejmu Czteroletniego — Franciszek Zabłocki. Wskazano wyżej, że Turski stał się *persona grata* Zabłockiego już po wygłoszeniu sierpniowej swej mowy delatorskiej. Można słusznie przypuścić, że poeta zechciał zająć stanowisko również w stosunku do drugiego wystąpienia swego przyjaciela politycznego, którym Turski pozostał aż do czasu ostatecznego ich poróżnienia się w styczniu 1790 r. Za autorstwem Zabłockiego przemawiałaby następnie druga okoliczność, związana z treścią tego wiersza, a mianowicie, wyraźna sympatja poety do króla pruskiego Fryderyka Wilhelma. Ściśle z tego okresu, z którego pochodzi wiersz: „Do chambelana Turskiego", mamy inny wiersz Zabłockiego: „Do króla i narodu"[17]), w którym sympatja dla „wspaniałego" z obu wierszy króla jest równie mocno wyrażona: spotykamy w nim również tęż samą paralelę między dobrotliwym Fryderykiem, a mniej już dobrotliwym jego stryjem. Oba wiersze stanowią w zasadniczej swej treści odmienne tylko redakcje — zależnie od okoliczności — jednego nastawienia uczuciowego ich autora. Nienawistny akcent autora „Do chambelana Turskiego" do osoby Branickiego potwierdza szereg satyr Zabłockiego, pisanych przeciw hetmanowi[18]). I w innych utworach Zabłockiego, skierowanych przeciw Branickiemu, jak w wierszu naszym, hetman stale stylizowany jest przez autora, jako morderca, notujący sobie w umyśle przyszłe ofiary[19]). Namiętną postawę autora, gotującego sztylet na swego wroga, odnaleźć można również w innych utworach Zabłockiego przeciw Branickiemu[20]). Ogólna budowa wiersza: „Do chambelana

[11]) Kraszewski. *Op. cit.* T. II. str. 174.

[12]) Smoleński. „Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII". 1923, str. 183.

[13]) Askenazy. „Łukasiński". 1929. T. I. Przepisy do str. 246.

[14]) K. M. Morawski. „Wolnomularstwo a Polska". Pamiętnik V Powszechnego zjazdu historyków polskich w Warszawie. Lwów 1930. str. 244, 245.

[15]) Askenazy. *Op. cit.* str. 246.

[16]) „Pamiętniki". Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. 1879 str. 100.

[17]) „Pisma" Zabłockiego, str. 225.

[18]) *Op. cit. passim.*

[19]) *Op. cit.* „Ksiądz Spirydjon" str. 174 w. 60, 69, 70. „Uwaga czytającego życie Sylli" str. 247, w. 13, 14.

[20]) *Op. cit.* „Do Branickiego", str. 240. W ręk. Bibl. Jag. N. 4902, k. 123—124 znajduje się wiersz anonimowy p.t.: „Ostatnia przestroga Branickiemu", zbliżony do uprzednio cytowanego; autorstwo jego przypisuję również Zabłockiemu, co uzasadniam w przygotowywanej przez się większej pracy.

Turskiego" wskazuje na charakterystyczną technikę Zabłockiego, grupującego materjał literacki *crescendo*, według wzrastającej jego zawartości uczuciowej i umieszczającego najefektowniejszy wybuch uczucia patrjotycznego w finale wiersza. Siła oburzenia w naszym wierszu jest właściwa Zabłockiemu w innych jego utworach.

Jeżeli dodamy właściwą Zabłockiemu barwę stylu, uznać musimy hypotetyczne autorstwo Zabłockiego za usprawiedliwione. Autorstwo to, zdaniem naszem, możnaby zakwestjonować w tym wypadku jedynie, gdyby się udało niewątpliwie ustalić, że cytowane powyżej utwory, z któremi zestawiono wiersz: „Do chambelana Turskiego", nie są własnością Zabłockiego; tego jednak dotychczas nie dokonano.

Przyjmując prawdopodobieństwo, że autorem wiersza omówionego jest autor „Fircyka", zyskujemy nowy i ważny pogląd na Zabłockiego, Zabłockiego—wolnomularza, co, zważywszy poważne jego stanowisko w literaturze, nie byłoby może bez znaczenia dla dziejów zarówno piśmiennictwa jak i kultury polskiej w. XVIII.

JULJUSZ NOWAK

O K N O

OD DŁUŻSZEGO już czasu architektura artystyczna w budowlach mieszkalnych lekceważy i zaniedbuje okno. Architekci traktują je, zapewne, jako szczegół nic nie znaczący, a jednak.. kłopotliwy. Doszło do tego, że — nie w teorji wprawdzie, ale w praktyce — okno uznano za dziurę w ścianie. Chodzi już tylko o rozmieszczenie i wymiary tych dziur. Budownictwo zaś, które zowie siebie „nowoczesnem", umyślnie i z całą brutalnością pozostawia te dziury w programowej płaskości i nagości, co uwidocznia się tembardziej, że wymiary okien znacznie wszerz powiększono, a ilościowo, z uwagi na liczbę małych mieszkań, także ich w każdej ścianie przybyło. W wyniku powstają nagie ściany z setkami nagich dziur oszklonych, symetrycznie rozmieszczonych, a z tego powodu ściany wieją przeraźliwą nudą koszar i suszarni fabrycznych.

Okno nie jest dziurą w ścianie, a to tak samo, jak nie jest dziurą oko w głowie ludzkiej. Nie jest również, (bodaj ze względu na konieczność swoją i liczbę), szczegółem architektonicznym. Nietylko w konstrukcji całości poważną rolę odgrywa, ale i o artyzmie budowli w dużym stopniu rozstrzyga, zaś od strony wewnętrznej i praktycznie i estetycznie stanowi jedną z głównych części mieszkania. Że wielu architektów podświadomie tę prawdę odczuwa, świadczą o tem tu i ówdzie próby zamaskowania owej „dziurowatości" i nagości okien. Nieśmiało i półśrodkami odzywa się tu instynkt artystyczny. Ale, niestety, mało jest artystów pośród architektów naszych, a ci, co są, nie znaleźli w rozwiązywaniu okna drogi szczerej i jawnie architektonicznej, lecz błąkają się w wyszukiwaniu zdobin czczych, gipsatur i efektów czysto malarskich.

Tak więc jedni wyodrębniają i zaznaczają okna różną barwą tynku, inni — żłobieniem tynkowem, jeszcze inni — nikłemi, płaskiemi półkolumienkami, lub półpilasterkami po bokach okna, a u spodu — daszkami, lub wpuszczonemi w mur balaskami niby balkoniku, nad oknem zaś — trójkątnemi nakryciami płytkiemi, jakoby od deszczu chroniącemi — i tak dalej. Sposobów tego maskowania nagości okien jest dużo, a większość ich stanowią resztki i strzępy różnych stylów pełnych i zakończonych. Ale niema w nich nigdzie żadnego związku rzeczowego z daną budowlą, niema konieczności tektonicznej, ani potrzeby praktycznej, a z tego powodu wszystkie te ozdoby rażą swoją czczością i fałszywością. Powtarzane zaś ryczałtowo w dużych kamienicach miejskich, zamiast zdobić, pstrzą je i szpecą. Mimo to psycholog architektury odnajduje w całej tej nieudolności poruszenia instynktu artystycznego, który odczuwa brzydotę w dziurze oszklonej, pragnie dać jej osłonę i szuka prawdy, chociaż narazie fałszami się ratować musi.

Co to za instynkt, który zmusza artystę do nakrywania, podpierania, osłaniania i cieniowania owego nagiego, płytko w ścianie umieszczonego okna nowoczesnych domów mieszkalnych? Jest to ten sam instynkt, który czuje konieczność i piękno powiek, rzęs, brwi i oczodołów w oczach ludzkich. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby twarz ludzka z oczami bez powiek i bez brwi, z gałkami ocznemi płytko na płaszczyźnie twarzy osadzonemi. Byłaby potworna, straszna i brzydka. Oczy nie miałyby żadnego wyrazu, byłyby gołe, zimne, jak szkła, nudne i wstrętne. Otóż zupełnie to samo dzieje się z oknami. Gołe, płytkie okno jest okiem bez powiek, rzęs, brwi i oczodołu. Zieje nudą, pustką, martwotą, a kiedy jest ich dużo, dom staje się „maszyną do mieszkania", którą nawiasem mówiąc, spekulanci budowlani wynaleźli na długo przed pojawieniem się reklamowanych „nowoczesnych zaprojektowań"...

Instynkt owych niedobitków artystycznych pośród architektów — jest słuszny i zdrowy. Dom patrzy oknami, a skoro patrzy, to jego spojrzenie powinno mieć w sobie życie, charakter i wyraz. Jak oku ludzkiemu jego charakter i wyraz nadaje oczodół z powiekami, rzęsami i brwiami, tak oknu — odpowiednie wgłębienie o pewnym kształcie, oraz jego obramowanie. Jednakże jak kształty ukostnienia i umięśnienia oka ludzkiego wynikają z całej budowy czaszki i twarzy, a byłyby brzydkie, gdyby je sztucznie dolepiano i malowano, tak samo i obramienia okien, o ile mają być żywe i piękne, muszą z wątku budowlanego powstawać i mieć swoje usprawiedliwienie w konieczności tektonicznej i celowości praktycznej. Architekci o słusznym w tej sprawie instynkcie artystycznym nie znaleźli dotychczas rzeczowego oparcia dla swojego instynktu, a przytłoczeni ogromną ilością okien w domach czynszowych, zaciągają zewsząd i naoślep różnorodne pożyczki zdobinowe, nie bacząc już ani na ich harmonję, ani na logikę. Takie atoli oparcie istnieje i ujawnia się poza wolą i wiedzą architektów, mianowicie — w skromnej i zlekceważonej kwietnicy.

Mieszkańcy o wyższej kulturze estetycznej pragną mieć przed oknami swoich mieszkań kwietnice, czyli występy, na których mogliby ustawiać

doniczki z kwiatami. Nie znajdując takich występów gotowych, przez architekta zrobionych, radzą sobie w ten sposób, że doczepiają do ram okiennych półki drewniane, albo czasem zamawiają u ślusarza odpowiednie szkielety żelazne i w mur je wbijają. Bywa też, że i architekci sami takie żelazne kwietnice projektują i odpowiednio osadzają. Nie jest-to jednak twórczość architektoniczna, ale zwykła doczepka ślusarska, a czasem, zrzadka — murarska. Oczywiście, uprzednim warunkiem możliwości takich doczepek jest okno otwierane do środka, a nie nazewnątrz. Otóż doczepki te są jasną wskazówką życiową, naszeptującą architekturze jej w tem dziale obowiązek praktyczny, a, co za tem idzie, i artystyczny. Kwietnica powinna stać się jednym z koniecznych pierwiastków budowniczych domu mieszkalnego.

Powinność ta odrazu da architektom do rąk motyw budowlany, którego stosowanie w różnych pomysłach i rozwinięciach nietylko na wyraz i charakter okien wpłynie, ale stanie się punktem wyjścia dla odmiennego, niż dotychczas, a pełnego bogatych możliwości traktowania każdego lica domów mieszkalnych. Kwietnice, jako nieodzowne składowe części ścian zewnętrznych, będą musiały być wyprowadzane z muru, co zmusi artystów do tworzenia odpowiednich występów, oparć, wsporników. Już ta jedna okoliczność usunie ze ścian ich płaskość, nudę, jednostajność i koszarowość. W dalszym ciągu życie nasunie architektom — w dużych zwłaszcza domach miejskich — konieczność łączenia i harmonizowania okien za pomocą kwietnic, po dwa i po trzy, w kierunku poziomym lub pionowym. Przy dużej ilości mieszkań i okien, różnorodne połączenia takie dadzą ogromną ilość możliwych zestawień i urozmaiceń. Mogą one łączyć w pewną całość artystyczną okna każdego mieszkania poszczególnego, mogą widomie oddzielać grupę okien jednego mieszkania od grupy sąsiedniego, mogą dla całości lica dawać większe części symetryczne w płaszczyźnie pionowej... I tak dalej.

Dopiero teraz, dzięki rzeczowemu uzasadnieniu tektonicznemu ze strony kwietnic, będą mogły być na nich po bokach okien umieszczane kolumienki, pilastry i różne inne zdobne czynniki architektoniczne, które będą albo oddzielały sąsiednie grupy kwietnic, albo je zamykały, a na nich już nie pasorzytniczo i nie jako doczepki dowolne, ale logicznie będą mogły opierać się okapy, daszki, łuki, szczyty i wszelkie górne okien zakończenia. Stosowane z umiarem i gustem, dawać mogą wielkie, harmonijne a nie postrzępione całości artystyczne, a z pustynnej nudy ścian, obecnie wznoszonych, uczynią żywe i pełne charakteru lica w stylu roślinnym. Odpowiadać to będzie charakterowi kraju naszego i narodu, którym zgruntu obce są gołe i szkliste wygony skaliste i maszynowa jednostajność ścian podziurawionych oknami. Proszę obejrzeć na Żoliborzu olbrzymy mieszkalne o najnowszych „zaprojektowaniach". Najgorsze więzienia mają w sobie więcej życia i radości! Brak tu już tylko gromady psów wyjących do księżyca. Kilkupiętrowa kamienica, o pięćdziesięciu i więcej oknach wzdłuż, w nagiej, płaskiej ścianie, wygląda jak olbrzymia ściana *safes*'ów bankowych, albo jak grobowcowy mur krematorjum.

Nie mam potrzeby rozwodzić się nad tem, jak wielkiem błogosławieństwem dla mieszkań będą kwietnice, na których można minjaturowe prowadzić, barwne ogródki. Muszę tylko zwrócić uwagę, że obecna moda okien nadmiernie szerokich, jakkolwiek powołuje się na hygjenę, jest dla zdrowia ludzkiego i dla duszy zabójcza. W małym pokoiku okno zajmuje całą jedną jego ścianę. Biedny mieszkaniec nie ma możności schronić się przed światłem — mieszka, jak więzień latarni. Zimą niema sposobu dogrzać takiego pokoju, a ustawienie w nim sprzętów z powodu tej ściany szklanej staje się zadaniem z rzędu kwadratury koła. Urzędowi „nowocześni" architekci, hygjeną książkową napompowani, nie znają tej prawdy, że jak każde zwierzę, tak i człowiek od swojej nory mieszkalnej żąda przedewszystkiem schronu przed światem i światłem. I to jest słuszne, a postokroć słuszne w targowisku miejskiem. Osłona, cień, cisza, poczucie niewidzialności, bezpieczeństwa, samotności — to są pierwsze warunki odpoczynku w mieszkaniu i pracy domowej. Ściana ze szkła zabija samą istotę mieszkania. „Domy szklane" są torturą gorszą od ciemnic średniowiecza. Pewna ilość światła konieczna jest w pokoju, ale nadmiar światła prowadzi do ciężkich chorób nerwowych.

Obłąkani jednostronną i fałszywą ideą nibyhygjeniczną, architekci nowocześni stali się nietylko katami dla mieszkańców miast, ale i sobie samym, w swoim zawodzie, ze stanowiska artystycznego i praktycznego nagromadzili temi oknami warjackiemi trudności, których nikt pokonać nie zdoła. Jak w sposób artystyczny rozwiązać ścianę o kilku długich szeregach okien szerokich, gęsto rozmieszczonych, jednakowych i symetrycznie bieżących? Jak w takich mieszkaniach rozplanować drzwi, piece, wgłębienia na szafy? Jak pozostawić odpowiednie miejsca na łóżka, otomany, stoły, półki bibljoteczne? Jak zabezpieczyć się od wichrów dojmujących, mrozów, upałów? Wszystko to pozabijała jedna durna ściana ze szkła, stosowana ze szczególną złośliwością do mieszkań małych i ubogich. Za ten nowoczesny „demokratyzm" latarń mieszkalnych architekci powinniby pójść na latarnie uliczne. W tego rodzaju oknach nie ma już, oczywiście, mowy o projektowaniu, a nawet o domorosłem urządzaniu kwietnic po stronie zewnętrznej. Tu już programowo postarano się o to, żeby mieszkańcy całkowicie do więźniów się upodobnili. Ani jednego kwiatka w nowoczesnych „maszynach do mieszkania"! Jak styl, to styl!

Jeżeli wśród architektów młodego pokolenia istnieje grupa artystów, doceniających zbrodniczość chamskiej architektury „nowoczesnej", to powinna ona, oprócz wielu haseł zasadniczych w sztuce swojej zwrócić również uwagę na okno domu mieszkalnego, a w sprawie okna — na zaniedbaną w niem kwietnicę. Mimo skromnej roli swojej praktycznej, kwietnica posiada w sobie utajone siły tektoniczne, których dobycie i wyzyskanie może znacznie wpłynąć na przekształcenie i ożywienie architektury mieszkalnej w kierunku wyższej kultury ludzkiej — duchowej, a nie maszynowej. W wielu dziedzinach rozpęd chamstwa międzynarodowego dobiega już końca, rozbija się na mecie absurdu, grzęźnie we własnem bagnie głupstw, od wieku hodowanych. Reakcja życia twórczego budzi się wszędzie. Dlaczego miałaby się opóźniać sztuka o tak dostojnych tradycjach, jak architektura?

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

List z Wisły o wiośnie śląskiej. — Postępy techniczne i zdobycze kultury polskiej.—Jaki jest Slązak.—Wspomnienie Warszawy. — Nauka o wolności. — Dopływy literackie.

POSYŁAM ten list z Wisły śląskiej, aby się usprawiedliwić przed czytelnikami, że mnie nie stać w tym tygodniu na „Widownię“ warszawską. Niepodobna stąd przerzucić się na zwykły kąt widzenia naszego świata: za duży wysiłek, a człowiek czasem potrzebuje bezwładu.

Z okna domu (pp. Sochaczewskich), w którym mieszkam, widzę pod sobą szumiącą i połyskującą w słońcu Wisłę, a dalej za drogą dwie grupy domów nowych z czerwonemi dachami—jedna koło dworca kolejowego, druga koło kościoła katolickiego. Tutaj też most na arkadach. Wszystko to na tle pasma górskiego, do niego przytulone. Góra ma ciemną grzywę leśną, a zbocza jej już zielenieją. Parę razy na dzień widzę cicho, bez gwizdania przesuwający się dyskretnie poza domami pociąg. Spostrzegam go po białym pióropuszu dymu.

Wszystko poza przyrodą jest nowe: i most, i przepiękna, asfaltowana droga, i kolej, i uregulowana wreszcie rzeka. Jest to dzieło województwa śląskiego, które widocznie jest zasobne i nie szczędziło nakładu. Chodniki koło drogi, oświetlenie elektryczne, wspaniały gmach szkolny, poczta, telegraf, telefon, po domach radjo, dalej już nad Dziechcinką kawiarnia (Oaza!), a w niej latem orkiestra, kilka sklepów, całe dziesiątki pensjonatów, nowe wille pną się na stoki, gdzie słońce południowe, wzdłuż rzeki wał, na którym będzie aleja spacerowa. W pewnem miejscu buduje się obszerny basen kąpielowy, obok będą plaże, kawiarnia...

Nie śniło się o tem nikomu przed trzydziestu laty, kiedy pierwszy raz w Wiśle gościłem. Juljan Ochorowicz, który tu był pierwszym pionierem idei letniska, snuł projekty rozmaite, ale przecież nie przewidział, że następne pokolenie doczeka tak dobrych czasów.

Ta droga asfaltowana, którą teraz mkną autobusy, auta, motocykle i rowery (ileż tych rowerów!), była dawniej wapienną szosą, porzniętą od wozów drzewem ładownych. Niepodobna było nieraz dojechać tutaj wózkiem, a cóż dopiero dojść, gdy deszcze z miału wapiennego sporządzały śmietanę. Obecnie drzewo z Baraniej góry ładowane jest w wagony kolejowe.

Nie warto byłoby robić takich nakładów, gdyby ludność nie umiała uszanować tych wszystkich zdobyczy kultury. Widząc starannie i na dużą skalę urządzany kwietnik przed szkołą, pytałem nauczyciela, czy dzieci nie zmarnują tej pracy. „Przeciwnie“—odrzekł—„dzieci są najlepszymi opiekunami kwiatów”. Szkoła sprowadza najpiękniejsze gatunki róż i dalij z ogrodów w Cieszynie po bardzo nizkiej cenie.

Istotnie dzieci szkolne robią bardzo dobre wrażenie. Zbiegają się do szkoły z odległych gór i dolin. Są dzieci z wyższych oddziałów (bo elementarne klasy istnieją tu i owdzie poza tą szkołą centralną), które mają do domu półtorej godziny drogi. W zimie spadają z gór na nartach. Z torbami na plecach, grzechocząc piórnikami, biegną malutkie dziewczynki, doskonale wymyte, z gładko uczesanemi główkami, zawsze uśmiechnięte i wdzięcznie przechodniom dygające: „dzień dobry”.

Pytałem na poczcie człowieka, przeglądającego gazetę, czy dobrze zrobił, zostawiając tak daleko przy drodze swój rower. Z jakąż dumą odpowiedział mi, że tu ludzie są porządni i nikt cudzej własności nie ruszy.

W gospodzie odbywają się zabawy taneczne, na których zresztą ludzie nie szczędzą alkoholu. Ale opowiadano mi, że nigdy nie dochodzi do bójek, od których tak głośno w Warszawie i na całem Mazowszu. Gdy razu pewnego podchmielony młodzieniec źle się zachowywał, drugi skarcił go czynnie. Obecna na zabawie służąca z Warszawy, była pewna, że nastąpi jakaś rzeź. Tymczasem sprawca zamieszania przyznał się do winy i uściskał swego pogromcę. Wyda się to komuś zbyt sielankowe, a jednak powołać się mogę na powieści Gustawa Morcinka, który wiernie maluje obyczaje i charakter ludu śląskiego. Przytaczam to nawet na jego obronę, nieraz bowiem dało mi się słyszeć, że Morcinek za bardzo ten lud idealizuje.

Porównywałem w duszy tutejszy schludny dworczyk kolejowy w Wiśle z gehenną głównego dworca w Warszawie. Tam przed wejściem do hali odjazdowej zdarzyło mi się być świadkiem sceny takiej. Apasz w kaszkiecie sportowym, pewno złodziej kieszonkowy, podstawił nogę wchodzącemu starszemu jegomościowi, też z miną szubrawca. Mocny protest. A tamten w odpowiedzi robi widowisko. Twarz wykrzywił, jak wisielec, z dłoni zrobił okulary, na rozkraczonych nogach wykonywa jakiś taniec brzucha,—co wszystko razem jest tak ohydnie komiczne, że napastowany oniemiał i przenosząc na mnie wzrok, pełen grozy i podziwu, rzekł tylko tyle: „Patrz pan, a to psiakrew!”. W brudnej, cuchnącej, zadymionej sali tłumy podejrzanych osobistości, a za nią, trafiam znowu na zgiełk: policja prowadzi jakieś panny w kapeluszach, które wykrzykują osobliwe, nie dające się powtórzyć przekleństwa i wyzwiska. Człowiek nerwowy wsiada do wagonu z jakimś koszmarem w duszy. Wielkie miasto. Co ono robi z ludzi! Nic też dziwnego, że w Wiśle oddycha się pełną piersią.

Uczono mnie niegdyś w filozofji prawa, zdaje się według Monteskjusza, że uczucie wolności jest niczem innem, jak pewnością, że mi nic nie grozi ze strony współobywateli. Dodałbym: że mi nie grozi nawet widok ohydy. Załamało się w Polsce to uczucie; tę pewność np. utracił ślązak Wojciech Korfanty; a ja w Wiśle na chwilę o wszystkiem zapominam. Żal mi tylko ściska serce na myśl, że Polska szuka modelu człowieka na wschodzie.

Nieznacznie—pomimo pozorów separatyzmu—życie na Śląsku coraz chętniej chłonie w siebie pierwiastki ogólnej umysłowości polskiej. W takiej Wiśle jest już obecnie garstka inteligencji, stale tu mieszkająca, z ogólnopolskiem wykształceniem. Tego dawniej nie było, żeby Wisła poza sezonem, gdy niema jeszcze ludzi przyjezdnych, urządzała przedstawienia amatorskie. Teraz widzę, odbywają się próby komedji kilkoaktowej Rączkowskiego „Polityka i miłość”. Zapowiadany jest cały repertuar.

Poznałem w Wiśle młodego pisarza, o którym wspominałem wyżej, Gustawa Morcinka, utalento-

wanego autora dwutomowej powieści „Wyrąbany chodnik“. Pochodzi z Karwiny, obecnie jest nauczycielem w sąsiednim Skoczowie. Propaguje gorliwie wydawany w Cieszynie kwartalnik „Zaranie Śląskie”. Na propozycję kompozytora Nowowiejskiego zajął się librettem do wielkiej opery śląskiej, w której bohaterem będzie legendarny zbójnik Beskidów — Ondraszek. Ponieważ Morcinek wierszy nie układa, więc przyjdzie mu z pomocą rymotwórczą proboszcz z Istebnej, ks. Grimm, który już nieraz legendy Ondraszkowej wierszem próbował. Nowowiejski (autor „Roty”) pali się do tej roboty.

Będziemy więc mieli operę śląską. Maluczko, a dopływać będzie do polskiej cywilizacji coraz więcej strumieni ze śląska. Jak Wiśle, która wiąże nasze ziemie, tak i wiernej rzece naszych dziejów nie da wyschnąć prastara ziemia Śląska.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NA WALNEM ZGROMADZENIU CZŁONKÓW RZECZYWISTYCH Tow. Zachęty p. Brzeziński (prezes) skarżył się, iż „prasa narodowa rozpoczęła atak na Zachętę“. Jakże to? Dotychczas słyszeliśmy zawsze z ust tego samego prezesa, że Zachęta jest placówką artystyczną o charakterze narodowym, którą on jedynie (razem ze swymi krewnymi) jest w stanie obronić przed zakusami żydów i masonerji. O składzie osobowym tej ostatniej p. Brzeziński, jak widać, jest świetnie poinformowany, skoro wśród jej sprzymierzeńców umieścił tak beztrosko nazwiska pp.... Miłaszewskiego, Otta, Bartoszewicza, Zamoyskiego i t. d. No, no, ktoby się spodziewał? Jak to dziś nikomu nie można wierzyć. Tacy stateczni ludzie, a okazało się—zamachowcy, wywrotowcy, rewolucjoniści, komuniści, dadaiści, futuryści i wogóle niech Pan Bóg broni. Trzeba przyznać, iż prezes robił, co tylko można i jeszcze więcej, czego nie można, aby instytucję ocalić dla... siebie. Nie dopuścił na walne zgromadzenie prasy, ograniczył czas przemówień do 5 minut, pojętych zresztą, w pewnych wypadkach, według teorji względności Einsteina. Wynik — wiadomy z pism codziennych...

NIEBARDZO DOBRZE ZDALIŚMY SOBIE Z TEGO SPRAWĘ, jakiem zdarzeniem w życiu literackiem była wydana w roku zeszłym powieść Wybranowskiego „Dziedzictwo“. Ukazanie się jej uwydatniło, z jaskrawością niespodziewaną, jak mało rozwinął się w Polsce rodzaj literacki powieści, skoro typ utworu, który znakomicie wykształcił się na Zachodzie, zwłaszcza w literaturach „anglosaskich“, u nas po raz pierwszy znalazł godnego reprezentanta; a jednocześnie też zastał naszą krytykę nieprzygotowaną. Przyjemności, tej jedynej przyjemności, jaką w powieściach daje żywa akcja i zajmująca intryga, czytelnik polski nie przywykł szukać w utworach literatury swojskiej; od tego są przekłady. To prawda, że nigdzie na świecie powieść o żywej akcji nie wyrobiła się w rodzaj tak powszechnie uznany, tak wszystkim potrzebny i tak świetnie reprezentowany, jak w Anglji — to prawda, ale myśmy okazali szczególniejsze niedołęstwo, co się tyczy zaspokojenia naturalnego głodu akcji w literaturze. Który z naszych krytyków pisałby się na zdanie Chestertona: „Doskonale jest, kiedy literatura interesuje się detektywami; źle, kiedy detektywi interesują się literaturą“? — Naogół przecież do dobrego tonu w krytyce należy lekceważyć „fabułę“. „Dziedzictwo” było pierwszym wybitnym utworem literackim, który swą wartość czytelniczą szczerze zasadzał na atrakcyjności zajmującej „fabuły”; ta zaleta w polskim utworze zastała krytyką nieprzygotowaną — bo takiego *genre*'u literackiego chwalić nie przywykła, jak powiedzieliśmy, nie rozwinął się u nas. Ale i znajomość świata, i praktyczna tendencja pouczenia — w utworze zajmującym akcją, nie ułatwiły krytykom zadania: bo nie przywykli do powieści pisanych inteligentnie i wykazujących dużą znajomość świata. Zacytujmy przykład. Jeśli „Dziedzictwo“ zmyliło potrosze nawet tak inteligentnego krytyka, jak p. Leon Piwiński (w „Wiadomościach Lit.“,—pisała o tem w swoim czasie „Myśl Narodowa“) — to co powiedzieć o p. Anieli Gruszeckiej w „Przeglądzie Współczesnym“ (z marca r. b.)? W zamieszczonej tam krytyce powieści Wybranowskiego łatwo widzieć wdzięczny okaz parafiańszczyzny umysłowej:— to byłoby prawie szanowne; lecz pozatem jest i jeszcze coś, co może także należy do parafiańszczyzny, ale napełnia niesmakiem. Szanowne poniekąd są w tej recenzji takie uświęcone cechy naszej krytyki literackiej, jak zdania bez sensu. (Np. „Nie wszystkie kategorje myślowe, potrzebne do ujęcia tego zagadnienia, zostały widocznie wywołane; a może i nigdy nie wystarczą?“). To nic nowego; to zabytkowe; podobnie jak obiegowy banał, że artyzmowi ubliża, jeśli w powieści znajduje autor „sposób wypowiedzenia się za pewną tezą społeczną, religijną i t. d.“. Ale nic szanownego niema w takich domyślnych interpretacjach, jak to wyjaśnienie ideowego sensu powieści: „Idzie o zemstę, o skończenie z głównym „grabarzem“, Culmerem“. Przeciwnie, o to wcale nie chodzi; chodzi o unieszkodliwienie wrogiej organizacji; „zemsta“ osobista nie gra roli chyba w psychologji Grzegorza, w którym siedzi „surowy, pierwotny poganin“... Tak mało zrozumienia ma krytyka, hołdująca kryterjom „artystycznym“ — dla psychologji walki, gdy motywy osobiste schodzą na plan drugi. Dziwi się zaś, jeśli najbliżsi bohaterowi ludzie, i to pod sugestją zbiegu okoliczności, gotowi są na chwilę uwierzyć, że bohater kierował się żądzą osobistej zemsty... Surowo sądzi tych najbliższych za myśl niewczesną: „Tu już zapominamy, że czytamy powieść..., i sięgamy wprost do rzeczywistości (wspólnej przecież dla autora i dla nas) ze zdumieniem: jakto? co to za społeczeństwo? gdzie się to dzieje? to my?“

Pomińmy niezgodność między impulsem interpretacyjnym, co w zemście chciał widzieć pobudkę działania bohatera, a surowym sądem o tych, co na chwilę ulegli podobnej pokusie. Ten okrzyk: „gdzie się to dzieje? to my?“ — ma swoją własną wymowę zdumienia—prawie tak świetną, jak współczujące zdziwienie „sanatora“ (J. Wołoszynowskiego z „Gaz. Polskiej”), obudzone w teatrze nieznanym widokiem sukcesu karjerowicza, żerującego na państwie: „Czyż aż tak nieszczęśliwą jest ojczyzna Verneuil’a?“

PO SKOŃCZENIU SIĘ ERY SANACYJNEJ w Polsce bez liku będzie instytucyj do odbudowania. Cokolwiek tradycyjnego w zakresie organizacji życia publicznego przekazała nam historja, pod *régime*'m sanacyjnym ucierpiało. Zachwianie się praworządności wstrząsnęło właściwie wszystkiem, co opiera byt swój na prawie publicznem: od nienaruszalności mieszkania prywatnego do autonomji uniwersytetów. Zachwiały się nawet instytucje, byt swój opierające głównie na starym zwyczaju, nie na przymusie prawa. Gdy zagrożona została poważnie sama zasada autonomji uniwersytetów, drobiazgiem może się wydawać, że robi się jednocześnie wysiłki, aby rozbić także tradycyjną organizację „Bratnich Pomocy". Jednakże i Bratnie Pomoce są w całokształcie życia polskiego instytucją, w swoim zakresie szanowną; i odbudowa tej pierwiastkowej organizacji życia akademickiego będzie także fragmentem w ogólnej odbudowie po ustaniu sanacyjnej ery. „Bratnie Pomoce" związane były (i są nadal) z życiem akademickiem licznemi węzłami; jest to jedna z nielicznych organizacyj, znanych zagranicą pod swą polską nazwą: „*The Bratnia Pomoc*". Obecnie zrobiona została, przez młodzież sanacyjną, próbą zniszczenia tej instytucji. Od czasu odrodzenia Państwa żadna grupa młodzieży polskiej nie ważyła się na krok tak anarchiczny. „Atmosfera Bratnich Pomocy, w których od paru lat rozpanoszyły się partyjne rządy kliki endeckiej, stała się dla młodzieży zdrowomyślącej nieznośną" — czytamy w notatce „Gazety Polskiej". „Prowokacyjny wybór przez nieznaczną (w rzeczywistości b. znaczną — przyp. red. „M. N.") większość oszczercy Polski zagranicą na prezesa Br. Pomocy Uniwersytetu spowodował masowe wystąpienia z tej instytucji"... Wystąpienia w stosunku do reszty zrzeszonych — niedostrzegalne; nawet nie wszyscy „sanatorzy" wystąpili; ale i to nie jest okoliczność łagodząca. Im mniejsza grupa, tem śmieszniejsza próba zakładania nowej „Bratniej Pomocy", i tem lepsze zamanifestowanie, jak wykształcić umie „sanacja" w nielicznych swych adherentach z młodego pokolenia — poczucie poszanowania dla instytucyj, tradycyjnie ogniskujących życie polskie. Kiedyż urzędownie obowiązującem *credo* obozu „zdrowomyślących" jawnie stanie się „nieodpowiedzialność"?

NAUKA I LITERATURA

BIBLJOGRAFJA W DRUGIEJ POTĘDZE

DOWODEM bardzo wysokiego poziomu bibljografji polskiej jest, oprócz znakomitego Urzędowego Wykazu Druków, ogłaszana prawie co roku „Bibljografja bibljografij". Właśnie ukazał się jej świeży tom za 1930 r. w opracowaniu p. M. Mazanek - Friedbergowej, jako dodatek do „Przeglądu Bibljotecznego". Następny tom za 1931 r. pojawi się niebawem oddzielnie. Podziwiać w tej pracy należy ogrom zebranego materjału i benedyktyńską pracowitość autorki, godnie utrzymującej świetne tradycje poprzednich autorów polskiej bibljografji t. j. prof. W. Hahna i W. T. Wisłockiego. — Dodać można, iż w lwowskim miesięczniku ukraińskim „Dzwony" (nr. 2 i 4 z bież. roku), rozpoczął p. E. J. Pełeńskij ogłaszać bibljografję ukraińskiej bibljografji. Będzie to pierwsza próba ujęcia nikłych ilościowo prac ruskich z tego zakresu. Autor uwzględnia oczywiście również prace polskie, które w szerokiej mierze niejednokrotnie rejestrowały i rejestrują druki ruskie. Czynił to Estreicher, czyni obecnie Urzędowy Wykaz Druków. Wiele materjału znajdzie się również w ogłaszanej przez Piotra Grzegorczyka od kilku lat Bibljografji mniejszości narodowych w Polsce, oraz bibljografji prac obcych o mniejszościach p. Zieleniewskiego, drukowanej w „Sprawach Narodowościowych" z. 2 z 1931 r.

Jeżeli mowa o bibljografji, to wspomnieć należy o rozpoczęciu drugiego wydania, dawno wyczerpanej „Bibljografji historji polskiej" L. Finkla, przejrzanej i uzupełnionej przez K. Maleczyńskiego. Ukazały się jej dopiero 2 zeszyty, z inicjatywy Pol. Tow. Historycznego we Lwowie. Nowy to dowód najwyższego u nas rozwoju bibljografji historji z pośród bibljografij specjalnych.

Bibljografja literatury polskiej zapewne też wkrótce wzbogaci się nową pracą dra S. Wierczyńskiego, który kontynuuje bibljografję literacką za lata 1908 — 1925. W opracowaniu P. Grzegorczyka ukaże się też niebawem „Bibljografja literatury polskiej" za 1930 r. (P. G.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Niezapomniany jest ten epizod w „Legjonach" Sienkiewicza, gdy jenerał Dąbrowski wyjaśnia, jaką drogą powstał język i naród francuski, a przysłuchujący się tym wywodom pułkownik francuski Gautier odpowiada z niezachwianem przekonaniem: „Jenerale, choćby djabli pomieszali się z Gallami, to ja byłbym tak samo Francuzem". Słowa te, przy całej swej naiwności, nie są zupełnie pozbawione sensu. Choć bowiem starożytną Galję przeorywali kolejno ogniem i mieczem Rzymianie i Germanowie, zostawiając osad swego języka (romańskiego) i nazwy (od germańskich Franków), jednakże element etniczny celtycki pozostał po dziś dzień zasadniczym fundamentem narodu francuskiego.

W każdym razie jest rzeczą charakterystyczną, że jak później bohaterem narodowym Francji stał się Frankończyk Karol Wielki, władający jednocześnie i Germanją, tak też równą czcią są otoczeni przez Francuzów, jako bohaterowie narodu, dwaj potężni antagoniści: najeźdźca - Rzymianin i powstaniec - Gallijczyk — Juljusz Cezar i Wercyngetoryks. Obu tym mężom — jakby Bogu świeczkę i djabłu ogarek — wznieśli niedawnym czasem pomniki „wdzięczni Francuzi": pierwszemu wdzięczni za swą kulturę starą i wielkość, drugiemu za obronę rasy gallickiej. Podobnie greccy poeci wielbili jednocześnie Hektora i Achillesa... Treść owych zmagań Wercyngetoryksa z Cezarem, tej niejako „Iljady" gallickiej, znana jest powszechnie z siedmiu ksiąg „Zapisków" *(Commentarii)* samego Cezara. Jeżeli dzieło to czyta się u nas ze względów raczej może dydaktycznych, to we Francji lektura ta ma znaczenie inne — a więc i inne przyjęcie. Francuzi nie mają powodu do tej niechęci, jaką w imieniu Polaków wypowiadał Cezarowi prof. Morawski na kartach swej świetnej „Literatury rzymskiej". Dla nich mogą być „Zapiski" tem mniejwięcej, czem dla nas „Stara Baśń", a może „Trylogja": — „powieścią z lat dawnych".

Tak pojął Cezarowe dzieło wybitny historyk francuski, Alfred Rambaud, którego utwór powieściowy „Pierścień Cezara" (nagrodzony przez Akademję Francuską) ukazał się właśnie w polskim (niezawsze zadowalającym) przekładzie nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Zasadnicza treść tego utworu jest niemal ta sama, co w dziele Cezara, tylko ukazana (jak mówią żydzi) „na wiwrót". Opowieść bowiem o wojnie gallickiej została włożona w usta nie Rzymianina, lecz *(audiatur et altera pars!)* starego wojownika gallickiego, byłego uczestnika owych bojów. Opowieść to arcyciekawa, pełna kolorytu, ruchu, silnych sytuacyj i wspaniale nakreślonych postaci ludzkich. Nigdzie nie znać balastu historycznej erudycji, choć autor wyzyskał chyba wszystkie „źródła", jakie tylko istnieją. Widać, że się wżył w ducha epoki i umiał epokę tę czytelnikom przybliżyć. W tym względzie może iść śmiało w paragon z epizodami rzymskiemi Kiplingowej powieści „*Puck on the Pook's Hill*".

Prócz motywów batalistycznych i obyczajowych jest też i wątek romansowy: porwanie Ambiorygi, narzeczonej opowiadającego. A charakterystyczne jest zakończenie powieści: „Dwie są dla mnie pamiętne rocznice, dwa dni w roku, kiedy bywam smutny: pierwszym z nich jest dzień, w którym Wercyngetoryks złożył swój miecz u stóp zwycięzcy; drugim — kiedy Cezar został zakłuty... Gdy się zastanawiam głębiej nad swemi uczuciami, przychodzę do wniosku, że może nie zachodzi wielka sprzeczność w tem, iż żywię cześć dla obu mych dawnych wodzów"...

Powieść nadaje się (po poprawieniu garstki omyłek przekładu co do „realjów" rzymskich) na lekturę dla młodzieży szkolnej, ale i starsi przeczytają ją z pożytkiem i zajęciem. Urok książki podnoszą piękne ilustracje ś. p. Mackiewicza. (J. B.)

*

Eustachy Czekalski przez wiele lat parał się prawie wyłącznie pracą dziennikarską, zanim spróbował sił swoich w baletrystyce. Pierwsza jego próba na tem polu ujawniła właściwy *genre*, może nawet poprostu jedyny zakres jego baletrystycznych możliwości. Rejonem, Czekalskiemu najbliższym i najlepiej znanym, okazała się Warszawa („Najukochańsze miasto"), a nadewszystko te jej zakątki, które już ongi tyle natchnień przyniosły Gomulickiemu i Oppmanowi („Szeroki Dunaj"). W nowym zbiorku, mającym tytuł „Duży wójt i mały Wojtuś" (nakład Gebethnera i Wolffa) właśnie za najudatniejsze uważać należy te nowele, których tłem są warszawskie knajpy „Pod Kogutkiem" i „Pod Bożą Opatrznością", a w razie czego choćby luna-park podmiejski. W swoim też żywiole czuje się Czekalski, gdy w nowelce „Niewysłowione szczęście" opowiada o letnisku podwarszawskiem, na które wybiera sie „objuczony różnemi sprawunkami" inżynier Franciszek Klej. Natomiast ilekroć autor wybierze się na nieco dalsze letnisko, natychmiast widać, że jego nowelom już braknie — kleju. Choć wzdycha do zielonych przestrzeni wiejskich, poznać odrazu, że nie ma o wsi — zielonego pojęcia. Sploty sytuacyjek, naśladowanych niezręcznie z Dygasińskiego, oraz niby „wiejskich" wyrażeń, wręcz nieudolnie przedrzeźniających Reymonta, nie zastąpią ani wrażliwego fonetycznie ucha, ani żywej obserwacji; aż śmiech zbiera, gdy się czyta o „Kasieńce", która nie umie mówić, tylko wciąż „jazgocze" (ulubiony wyraz dzisiejszych snobów!) ...i o innych podobnych osobliwościach, które zakamieniałemu mieszczuchowi wydają się jedyną treścią i cechą wsi. Podobnie nie udają się Czekalskiemu inne wojaże wakacyjne, zwłaszcza włoskie. Jak na gwarach polskich, tak na języku włoskim autor „Liści pomarańczy" zna się jak kura na pieprzu, skoro na jednej tylko stronicy (41) zgromadził całą kolekcję potwornych wprost błędów językowych, jak „*Granda* (!) *Marina*" i „*gli* (!) *primi* (!) *collazioni* (!)" (?). Możeby tak skończyć już z tą grandą i tą włoszczyzną? Przydałoby się—zwłaszcza, że (jak widać z powtarzania motywów niektórych) autorowi nader często braknie konceptu, choć właśnie konceptem pragnie podbić czytelnika. (J. B.)

*

Tematem książki „Świat po niewidomemu" są wrażenia z zakładu dla ociemniałych dzieci, spisane przez Helenę Boguszewską, poświęcone twórcom i współpracownikom Zakładu dla ociemniałych w Laskach, wydane nakładem „Kobieta Współczesna" w Warszawie. Przeżycia swe wśród grona ociemniałych wychowanków zakładu, chłopców i dziewczynek, ujęła autorka w drobne opowiastki ich dni od rana do wieczora, pośród izb budynku, prac w ogrodzie i wycieczek poza obręb zakładu w pola i lasy. Tytuły opowiastek przybrane zostały z pogadanek z dziećmi i wyrażone ich dziecinnym językiem, z poza rzeczywistości, w sferze ich rzeczywistości urojonej, „Lalki", „Dzwonki", „Zabawa „w czarnego luda", „Ociemniała igła", „Pierścionki ze słomy", „Kolorowe słowa", „Niebieskie skrzydła". W opowiadaniach tych głęboko został odczuty ból istnienia dzieci, wydziedziczonych ze wzrokowych podniet zewnętrzności, i w sposób plastyczny uwydatniony bieg ich pojęć o świecie „na niewidome". Wszystkie te dzieci o różnych imionach i nazwiskach wydają się jednakie w trybie mechanizmu zakładu, tak jak na pierwszy rzut oka wszyscy murzyni wydają się jednacy, jednak każde inaczej się zachowuje, inne ma pragnienia, wspomnienia i sny. Pani Boguszewska trafnemi i delikatnemi określeniami przedstawia te dobre duszyczki, w atmosferze serdecznej i ofiarnej opieki sióstr, nauczycielek i kierowniczek Zakładu. Wyobrażenia ociemniałych cechuje względność wartości materjalnych, natomiast myśl ich ześrodkowuje się w zadumie i milczeniu, a wypowiedziane urywkowo słowa są raczej tajemną mową symbolów i znakami hieroglificznymi. Żyją w wiecznej ciemności, poza dobrodziejstwem światła, te postacie niby chińskich cieni, tyle że przesuwających się przez kolorowe i pogodne tło krajobrazu. Ale dzięki uczuciu wiary, przenikającej książkę „Świat po niewidomemu", książka ta nie jest smutna. Jeden z wychowanków, który po przebyciu kilku operacyj oczu może coś niecoś widzieć z pomocą okularów, chętnie chowa okulary do kieszeni, bo z przyzwyczajenia śmielej obraca się „po niewidomemu". Niejako więc autorka idealizuje stan osamotnienia ociemniałych, a czyni to z talentem i kulturą literacką. (A. W.)

*

Akademickie Koło Wrześnian wydało w drukarni A. Prądzyńskiego we Wrześni księgę zbiorową pod tytułem „Września, jej ziemia i mieszkańcy. Przyczynki do dziejów historyczno - kulturalnych ziemi Wrzesińskiej. Część I-sza. W 675-tą rocznicę dziejów miasta" str. 94. Tablic i rycin 12-ście. Jako *motto* wydawnictwa zamieszczono zdanie Norwida „Kto się oderwał od sumienia tradycji, dziczeje", poczem prof. Bronisław Dembiński powiada we wstępie, „że choć ta karta, wyjęta z wielkiej księgi przeszłości Polski, obejmuje tylko jedną ziemię — wrzesińską, ale wiąże się ściśle z całokształtem naszych dziejów, jest odbiciem i odzwierciadlemiem ich w różnych epokach po przez wieki". To też to życie i myśl polską, które w swym rozwoju przerwała obca ręka gwałtem, obecnie grupa młodych uczonych ukazuje w ich świeżym i nieśmiertelnym blasku polskości. Jan Szymański w studjum „Września Geograficzna" opisuje ziemię wrzesińskiego powiatu, ożywionego wodami, wspomnianej przez Długosza, rzeki Wreśnicy. Dalej A. Szyperski w studjum „O nazwie Wrześni" przedstawia językoznawczy wywód historyczny nazwy tej miejscowości od słowa wrzos, a od zlatynizowanej nazwy Vresna w kodeksie dyplomatycznym wielkopolskim z roku 1256 coraz, w obrębie tego samego słowa pochodnego, odmienne przybierającej brzmienie. W następnem studjum tegoż autora, „O Nazwach Geograficznych Powiatu Wrzesińskiego", objawia się przebogata żywotność słownictwa, „skarbiec językowy", mianowaniem wsi, przysiółków, gmin i obszarów dworskich, od nazwisk i przezwisk właściciela, prac rolniczych i przemysłowych, służebności, polowań, wojennych jeńców tam kolonizowanych, władz dworskich i kościelnych, od nazw rzek, łąk, młynów, a nawet karczmy. Dalej następuje studjum archeologiczno-przedhistoryczne Zdzisława Adama Rajewskiego „Pradzieje Powiatu Wrzesińskiego", w którem autor przedstawia wstecz od 5000 lat przed Chrystusem, epoki tej ziemi, 3 kamienne, bronzową i żelazną, ilustrując swą pracę mapami i obrazkami wykopalisk, broni, ozdób i naczyń, z różnych okresów jej kultury. Studjum Juljana Stasiewskiego „Przywilej miasta Wrześni" zaznacza na wstępie wpływ najścia Niemców i cytuje tekst przywileju lokacyjnego, wydanego dla miasta przez wojewodę Brzesko - Kujawskiego i starostę Inowrocławskiego, a w rozprawie „Jak powstał powiat Wrzesiński?" daje pogląd na organizację kasztelanji i ustrój powiatu wrzesińskiego od czasów piastowskich po dzień dzisiejszy. W osobnej rozprawie mówi p. Stasiewski o osadach czynszowych w powiecie. Dalej następują rozprawy historyczno - kulturalne, Marjana Turwida „Perła Wrzesińskiej Fary", A. Szyperskiego, „Najdawniejsi Wrześnianie na Uniwersytecie Jagiellońskim", „Szczebrzyca", „Zamek Miłoslawski i życiorys arcybiskupa Stablewskiego", Janusza Deresiewicza „Żywot świętobliwego Tomasza Zielińskiego z Zielińca i działacza oświatowego J. K. Jakubowskiego". Wreszcie zamyka księgę wykaz bibliograficzny źródeł i opracowań, dotyczących dziejów Ziemi Wrzesińskiej. Metoda naukowa, jaką, pod kierunkiem prof. Dembińskiego, poszczególne rozprawy zostały opracowane, duch narodowy, jaśniejący w ich perspektywach historycznych i kulturalnych, zalecają rozpowszechnienie tej pouczającej i estetycznej książki. Przygotowana do wydania część II-ga omówi dziedzinę gwarową, pieśniarską i dziedzinę sztuki ludowej w obrębie Wrześni. (A. W.)

*

Stulecie śmierci Goethego, które cała Europa święciła dnia 22 marca r. b., wywołało szereg refleksów i na gruncie polskim. Echa owe świadczą chlubnie o pełnym życia udziale, jaki bierzemy w sprawach i wydarzeniach ogólnych. Poeta Weimarski zbyt poczesne miejsce zajął w rozwoju naszej myśli literackiej, by jego jubileusz pośmiertny przejść miał u nas nieupamiętniony w sposób trwały.

Te to pobudki kierowały zapewne redakcją „Ruchu Literackiego", niezastąpionego organu polonistycznego, gdy marcowy zeszyt pisma złożyła w hołdzie pamięci twórcy „Fausta". Znakomity germanista, prof. Zygmunt Łempicki rzucił na wstępie wizerunek Goethego na szerokie tło prądów duchowych jego epoki. Artykuł prof. Łempickiego zaciekawia nietylko z uwagi na syntezę, którą wyznacza, lecz także — metodycznie. „Rozwija się dziś i to dość bujnie nawet, nowy dział badań literackich, który Niemcy określają mianem: „*Geistesgeschichte*", a co na polski język najlepiej oddać wyrażeniem: dzieje kultury duchowej. Tkwi w istocie tego kierunku, że ujmuje on zjawiska literackie, osoby i dzieła, jako objawy wielkich prądów duchowych i kulturalnych, a nie jako wyraz indywidualnych przeżyć i jednostkowej struktury psychologicznej". Sylweta Goethego, nakreślona wytrawnym piórem Z. Łempickiego, jest oceną poety, dokonaną na takiej właśnie, nowej podstawie.

Z kolei prof. Br. Gubrynowicz ogłasza „kilka notatek o Goethem w Polsce"; są to interesujące materjały, dobyte z roczników dawnych czasopism, przynoszące szczegóły nieznane, lub nieuwzględnione przez dotychczasowych badaczy. Poszukiwania autora stanowią cenny przyczynek do dziejów

Goethego na gruncie polskim; starczą też za dowód, że niepodobna mówić jeszcze o wyczerpaniu tego zagadnienia w naszej historji literatury.

Szczególną uwagę budzą wynurzenia prof. Tadeusza Zielińskiego p. t. „Co zawdzięczam Goethemu?": „ludowość, antyk, chrześcijaństwo — to są te trzy filary, na których spoczywa gmach naszej kultury". I ten oto pogląd na świat, znakomicie syntetyczny, wywiódł polski hellenista z lektury pism autora „Fausta".

W dziale drobnych notatek p. A. S. przypomniał wypowiedzi Goethego o Henryku Lignickim.

Redakcji „Ruchu Literackiego", zawsze bystro wyczuwającej zainteresowania szerokiego ogółu polonistycznego, należy się słowo serdecznej podzięki za troskliwe przygotowanie atrakcyjnego zeszytu.

Dopełniają numer zwykłe działy: recenzje, notatki, bibljografja. (T. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Artus w swych powieściach poruszył już wiele ciekawych zagadnień. Ostatnią zaś swoją książkę poświęca *„Paix sur la Terre" (Grasset édit.)*. W najrozmaitszych środowiskach mówi się obecnie coraz częściej o możliwości przyszłej wojny, podkreślając równocześnie fakt, że gdyby podobny kataklizm miał nastąpić, to „cudowne" a „zabójcze" równocześnie wynalazki z dziedziny nauki, a przedewszystkiem chemji, spowodowałyby potworną hekatombę nietylko wojsk walczących, ale także i ludności cywilnej. Oto punkt wyjścia ogólny dla książki p. Artusa. W niej bowiem, Karl Emmer, genjalny wynalazca postanowił wynaleźć taki środek, dzięki któremu wojna musiałaby być zakończoną z powodu braku... kombatantów. Emmer wymyśla zatem nadzwyczajny, chemiczny naturalnie preparat. Autor jednak sprawia, że preparat ten znajdzie się równocześnie w posiadaniu Niemców, jak i w posiadaniu Francuzów. Pierwszych przedstawia piękna Erna Bohr, której ojciec jest kanclerzem Rzeszy; drugich zaś, Jacques Lancelot, radca Ambasady francuskiej w Berlinie, a równocześnie i jakby przypadkowo... narzeczony dorodnej Erna. Imaginacja, a powiedzmy także uczucia ludzkości i lokarnizmu, nie pozwolą autorowi tej ciekawej powieści na oddanie się zupełnemu pesymizmowi. Zakończenie jej bowiem jest charakterystycznie symbolicznem. Po całym szeregu straszliwych perypetyj, Niemka Erna poślubi Francuza Jacques. Dodajmy, że poetycki optymizm p. Artusa jest możliwy w literaturze, ale zdaje się znajdować coraz to wybitniejsze zaprzeczenie w rzeczywistości. Niestety zaś, ona jedynie może być w chwili obecnej brana w rachubę. (I. B)

*

„Les Metamorphoses" (Nouvelle Revue Française) zakrawają na powieść policyjną. Jest to więc lektura lekka, w której autor, p Pierre Véry zainicjował dosyć zabawny sposób skonfrontowania domniemanego zabójcy z jego niemniej domniemaną ofiarą, sposób jednak, który będzie miał tragiczne zakończenie. Pewnego dnia w biurze dwóch starych architektów, razem codziennie urządzających drzemkę, jeden z nich, Sucre, zostaje znaleziony zamordowany. Drugi, Flambinel w dalszym ciągu z nowym wspólnikiem, nazwiskiem Gingembre, będzie prowadził interesy. Ten ostatni przybiera powoli, jedną po drugiej, wszystkie manje zmarłego Sucre; zaczyna nawet do niego się upodobniać. Ta metamorfoza nie uchodzi — naturalnie — uwadze starego Flambinel'a. Przeciwnie, zaczyna go dręczyć i na nerwy działać, aż wreszcie ciągłe obcowanie z żywym-zmarłym powoduje u niego śmiertelny atak. Kim jednak był ów Gingembre? Dedektywem poprostu, pragnącym dzięki tej metamorfozie zbadać tajemnice życia Flambinet'a, a mianowicie dowiedzieć się, czy był on w istocie zabójcą swego towarzysza Sucre! Ciekawy, ale niebezpieczny sposób wykrycia prawdy przez poprowadzenie grobu. (I. B.)

*

W *„La maison du quai" (Ferenczi édit.)* mamy do czynienia z dramatem prowincjonalnym. Obok klasycznej trójcy: małżeństwa Girardot i kochanka Filipa Montavers, autor tej powieści p. Gaston Chérau wprowadza jeszcze czwartą postać, a jest nią Hermine Barmin. Hermine, przyjaciółka Ginette Girardot i jej powierniczka, żyła w atmosferze miłości i romansu. Nikt jednak na nią uwagi nie zwracał, nikt nawet nie potrafiłby powiedzieć, czy Hermine była brzydką czy ładną. Powoli wszakże zaczyna ona przeżywać tak dalece dramatyczne czy szczęśliwe chwile dwojga kochanków, że w jej sercu budzi się głębokie uczucie dla Filipa. Ginette wystawia tego ostatniego często na ciężkie próby; wówczas cierpi wraz z nim Hermine. Aż przyjdzie chwila, w której teuże zabije męża Ginette Girardot, a wtedy zdawałoby się, iż w miarę jak odsuwa się od niego kochanka, coraz bliższą mu staje się jej przyjaciółka, Hermine. Autor z nadzwyczajną bystrością i znajomością psychologji kobiecej odmalował te dwa odmienne charaktery dramatycznych bohaterek prowincjonalnych. (I. B.)

*

Ukazała się praca doktorska dr. Tadeusza Borkowskiego p. t. *„Die Polnische ausserondentliche Abgabe vom Jahre 1922"*. Po szczegółowej analizie samej ustawy, autor ocenia ją w sposób następujący: „Polska danina nadzwyczajna ma tę dużą przewagę nad innemi tego rodzaju podatkami zagranicą, że wybrała ona, jako źródło, nie majątek, lecz przychód" „Łagodność obciążenia i związanie podatku z majątkiem rzeczowym nie dopuściły do ucieczki kapitału i spadku cen — zjawisk, których się obawiano. Natomiast bezwątpienia niekorzystne położenie rynku kapitałów, dokładniej biorąc, brak środków płatniczych, pogorszyło się jeszcze bardziej przez wyciągnięcie z życia gospodarczego znacznych sum tytułem podatku dla Skarbu Państwa". „Polska danina sprzeczna jest całkowicie ze wszystkiemi postulatami nowoczesnej nauki podatkowej. Braki wymiaru na podstawie oznak zewnętrznych, skomplikowana a zawiła redakcja przepisów, nie wytrzymają krytyki, chociażby były usprawiedliwione ówczesnemi warunkami skarbowo-politycznemi. Tylko prostotę i małe koszty wymiaru należy zapisać na jej dobro i ta korzyść nie może być pozostawiona bez uwagi". (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W SALONIE GARLIŃSKIEGO wystąpił z wystawą swych prac Aleksander Jakimczuk. Artysta, od niedawna dopiero wystawiający u nas, urodził się na Wołyniu, tam stale przebywa i pochodzi zapewne, jak to nazwisko wskazuje, z rodziny ruskiej. Wszystkie te okoliczności zaważyły w pewien sposób na malarstwie Jakimczuka. Przedewszystkiem jego obrazy dość ściśle da się określić nazwą: sceny rodzajowe — artysta odtwarza w nich życie swego najbliższego otoczenia przy pracy codziennej. Charakter ich jest zdecydowanie realistyczny, a technika i ujęcie niewiele mają związku ze zdobyczami malarstwa doby ostatniej. Podobno Jakimczuk jest samoukiem, lecz toby tylko do pewnego stopnia tłumaczyło sposoby, jakiemi się wyraża, gdyż nie noszą one bynajmniej cech dyletantyzmu. Ta mowa, nieco staroświecka, nie wydaje się anachronizmem, nie razi również skostniałością, bo przedewszystkiem ujmuje nas duża i bezpretensjonalna szczerość artysty, oraz niewątpliwy smak, ujawniony w całym szeregu dzieł. Mają one koloryt ciepły, o przewadze tonów brunatnych i żółtych.

Obok kompozycyj artysta wystawił szereg studjów i notatek z natury, w tem sporo akwarelą.

*

Z akwarelistów, oprócz Nehringa, w Zachęcie wystawił Zdzisław Kraśnik. Trudno coś zarzucić technice artysty, śmiałej, nieraz brawurowej, świadomej swych środków. Malarz posługuje się nią, unikając kokieterji i smaczków, i nie waha się zmyć i przemalować czegoś, co się już dobrze położyło, aby tylko osiągnąć większą prawdę artystyczną. Jest to zaleta godna podkreślenia. Natomiast interpretację natury ogranicza artysta do *minimum* i trudno nam się pogodzić z tak mechanicznem przyjmowaniem wszystkiego, czem ona częstuje, bez najmniejszego wyboru i należytej segregacji. Również i kompozycja nie dorównuje poziomem malarstwu u Kraśnika; odtwarzane fragmenty często źle i niedbale są rozłożone na prostokącie obrazu. Żałować należy, iż artysta tak lekceważy sobie te właśnie strony malarskiego zadania, gdyż ich po-

głębienie mogłoby wznieść jego studja do wyższych od nich w randze kompozycyj.

*

Pozatem na uwagę zasługują 3 niewielkie akwarele p. M. Rogowskiej, o dużych walorach dekoracyjnych, przemyślane i komponowane starannie.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

STO DNI

CO NAM POWIE Mussolini o Napoleonie? — oto pytanie' któreśmy sobie zadawali, podążając na ostatnią premjerę do Teatru Narodowego. Prześladowało nas ono do samego końca widowiska, w którem doszukiwaliśmy się wytrwale aluzyj i wskazówek politycznych i staraliśmy się wypatrzeć sens historjozoficzny.

Dyktator Włoch winę upadku Napoleona zwalił przedewszystkiem na parlament. Kto wie, czy pomimo klęski militarnej pod Waterloo i pomimo zdrady (reprezentowanej na scenie przez ministra Fouché'go) nie dałoby się cesarstwa utrzymać, gdyby cesarz zdecydował się rozpędzić „pięciuset adwokatów", jak mu to doradzano.

Rewelacyjnie brzmi ze sceny wyznanie Napoleona, który pod koniec sztuki wyjaśnia gronu najbardziej zaufanych współpracowników przewodnią ideję swojej działalności.

— Chciałem podbić Europę i zagarnąć wszystkie jej kraje pod swoje berło w tym celu, żeby z niej uczynić jedno ogromne, wolne państwo, w którem na przyszłość wojny byłyby już niemożliwe.

Okazuje się zatem, że Napoleon był — pacyfistą.

Si vis pacem para bellum.

Takie jest w najogólniejszych zarysach ideologiczne tło spektaklu.

Tytuł sztuki, napisanej przez Mussoliniego do spółki z Joachimem Forzano, brzmi „Sto dni". Autorowie jednak ograniczyli się do pokazania na scenie tylko dziewięciu dłuższych chwil z ostatniego trimestru władzy cesarskiej Bonapartego. Mogli byli, gdyby im się tak podobało, pokazać tych chwil daleko więcej, luźna bowiem forma utworu, wzorowana na misterjum pasyjnem, do ograniczania ilości odsłon ich nie zmuszała.

Jest to forma dramatyczna wcale nie gorsza od tragedji klasycznej. Formą tą posługiwali się najwięksi genjusze z pośród dramatopisarzy nowożytnych: wielcy hiszpanie, Szekspir, niemieccy i polscy romantycy.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby Benito Mussolini i Joachim Forzano mieli podchodzić do tematu historycznego w sposób szekspirowski, czy romantyczny.

O nie.

W „Stu dniach" ani śladu „legendy napoleońskiej". Ani śladu tak zwanego poetyckiego zmyślenia. Sztuka jest oparta mocno na faktach historycznych. Udjalogowany i uinscenizowany (bardzo zręcznie i mądrze) rozdział historji. Nic więcej. Więcej „zmyślenia", więcej „poezji" czytaliśmy napewno w niejednych „pamiętnikach naocznego świadka" i w niejednem dziele naukowem, poświęconem postaci Napoleona.

Z tem wszystkiem, przy absolutnym braku poetyckości, sztuka ta jest widowiskiem nader atrakcyjnem. Forzano, który opracował teatralnie scenarjusz, obmyślony przez Mussoliniego, jest wytrawnym dramatopisarzem, umiejącym doskonale operować efektami scenicznemi. Publiczność warszawska przed paru laty miała okazję oklaskiwać tę jego umiejętność, gdy wystawiano u nas doskonale zmajstrowaną komedyjkę p. t. „Dar Poranka".

W „Stu dniach" nie wszystkie efekty sceniczne są szczęśliwe. Niektóre rażą najmniej wybrednych widzów swoją banalnością. Nie mniej jednak reżyser-dekorator i aktorzy znaleźli w tej sztuce rozległe pole do popisu.

Dekoracje Karola Frycza olśniewają przepychem. Gabinet ministra policji Fouché'go („ampiry" zielone) i salon w Malmaison („ampiry" fioletowe) budziły wśród widzów szczery i zasłużony entuzjazm. Pieczołowitość swoją w przygotowywaniu rekwizytów dekorator posunął tak daleko, że zaopatrzył tłumy dygnitarzy napoleońskich w krzyże Legji honorowej z czasów cesarstwa. Różnica między ówczesnemi insygniami a dzisiejszemi jest tak minimalna, że nawet z bliskich rzędów krzeseł można ją wypatrzyć tylko przez lornetkę.

Naczelną rolę w sztuce — rolę cesarza Napoleona odtworzył pan Brydziński. Dał doskonałą maskę i sylwetę. Co do samej gry, możnaby mieć pewne zastrzeżenia. Niektóre sceny jednak (np. pożegnanie z matką i pożegnanie z rodziną) wypadły doskonale.

Węgrzyn dał bardzo jaskrawo potraktowaną postać obryzganego błotem generała, który powróciwszy z cesarzem do Paryża prosto z pod Waterloo, opowiada zebranym w Tuillerjach dygnitarzom przebieg bitwy. Opowiadanie owo pozwoliło wyładować artyście całe bogactwo aktorskiego temperamentu.

Samborski zagrał rolę ministra policji Fouché'go. Był djaboliczny jak sam Mefistofeles. Solski powtórzył w małej rólce epizodycznej słynną swoją kreację Wiarusa z „Warszawianki".

Bardzo dobrze wywiązali się z powierzonych im ról drobnych pp.: Gawlikowski, Solarski, Trzywdar-Rakowski.

Reżyserował widowisko Solski. Włożył w tę pracę wiele pomysłowości, trudu i staranności. B. dobrze wypadły zwłaszcza najważniejsze końcowe sceny widowiska. Rozmowa Lafayette'a w kwaterze pruskiej i scena w namiocie Wellingtona — pozostawią nam, dzięki wybornej reżyserji, trwałe wspomnienie. Mniej szczęśliwie udał się przegląd gwardji. Efekt starego wiarusa z pod Austerlitz, klękającego przed cesarzem, nie wzruszył prawdopodobnie nikogo.

ZASTĘPCA

NOWE KSIĄŻKI

Boguszewska Helena. Świat po niewidomemu. Warsz. 1932. „Kobieta współczesna". S. 135.

Jarkowski Stan. Prasa prasy. Notatki bibljogr.-historyczne. Warsz. 1932. Tow. Wyż. Szkoły Dzien. S. 62

Helsztyński Stan. Międzyrzecze. Wielkopolskie sonety regjonalne. Szamotuły 1932.

Przybyszewski Stan. Z gleby Kujawskiej. Z przedmową K. Przerwy-Tetmajera. Poznań 1932. „Dzien. Pozn." S. 128.

Niepodległość. Tom. V, zesz. 3. Warsz. 1932.

Września, jej ziemia i mieszkańcy. Przyczynki do dziejów historyczno-kulturalnych ziemi Wrzesińskiej. Cz. I. Września (1932). Druk. Prądzyńskiego. S. 94 i tabl.

Nauka polska, t. XV. Warsz. 1932. Kasa Mianowskiego. S. 449.

Kudelka Bol. Zródła odrodzenia. Rozważania pedagog.-społeczne. Brześć n/B. 1932. S. 38.

Panenkowa Irena. Co to jest wychowanie państwowe? Warsz 1932. Dom Ks. Pol. S. 32.

Weyssenhoff Józef. Żywot i myśl Zygmunta Podfilipskiego (z portretem autora). Dzieł zebranych t. I.

Sprawa Dołęgi. Powieść. Dzieł zebr. t. II. Nakładem Wydawn. Polskiego (R. Wagner) w Poznaniu.

Peretiatkowicz Antoni Prof. Konstytucja Rzpltej Polskiej i ważniejsze ustawy. Wyd. V. Poznań 1932.

Mann Tomasz. Pan i pies. Przekład L. Staffa. Poznań Wydawn. polskie (R. Wegner).

Marschal Edison. Wyspa fok. Przekład J. Marlicza. Poznań. Księg. św. Wojciecha.

Miłaszewska Wanda. Na cztery wiatry. Powieść. Poznań. Św. Wojciech.

Kłos Józef ks. Dwie ofiary. Kazania. Poznań. Św. Wojciech.

Keppler ks. W. biskup. Więcej radości. Poznań. Św. Wojciech.

Teodorowicz Józef ks arcyb. Od Betleem do Nazaretu. (dzieła „Jezus Chrystus" t. II). Poznań 1932. Św. Wojciech. S. XI i 338.

Rostworowski K. H. Zygzaki. Poezje. Poznań. Św. Wojciech.

Relidzyński Józef. Miłość Renaty Jazłowieckiej. Powieść. Warsz. Geb. i Wolff.

Kossowski Jerzy. Biały folwark. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Braun Jerzy. Hoene-Wroński a Polska współczesna. Warsz. 1932. S. 43.

Sée Henryk. Źródła współczesnego kapitalizmu. Zarys historyczno-gospodarczy. Warsz. 1932. Nakład fundacji im. Chankowskiego. S. 179.

Prawda o ubezpieczeniach społecznych. Warsz. 1932. Centr. organizacja Związków prac. umysł. S. 16.

Pamiętnik Literacki. Lwów 1932. T. XXIX, zeszyt 1.

Ruch Literacki. Warsz. marzec 1932.

Lud. Lwów. Zesz. 3—4 tomu X (serji III).

OFENSYWA

TROCHĘ PO ŁAPACH

„GAZETA POLSKA" od czasu do czasu zamieszcza fejletony gawędziarskie jakiegoś pana T. Hiża o dawnych czasach i dawnych ludziach. Dawniej miała takiego Cezarego Łagiewskiego, potem takiego Cezarego Jellentę, obecnie z powrotem Hirszbanda, wracającego z łona Sanacji na łono Abrahama. Teraz ma jakiegoś pana Hiża. Kto zacz, nikt nie wie, i nie umie powiedzieć, i nie zna, natomiast on jakoś wie o wszystkich wszystko, znał wszystkich, bywał u wszystkich, przyjaźnił się ze wszystkimi i to od lat 60-ciu. Ale kogo spytać o p. Hiża, nikt nie umie powiedzieć, kto zacz, skąd i co niby?

W „Gazetę Polską" ostatnio wlał gawędę o nieboszczyku Konradzie Krzyżanowskim. Poziom narracji, ot, takie coś, tandetnie podsłuchane, podpatrzone, z trzeciej ręki, kawiarniane anegdoty, czy od „płatniczych" i praczek pozbierane śmieciuszki. *Homo* Hiż opowiada atoli taką anegdotę:

„W Monachjum osiadła na jakiś sezon zimowy któraś hrabina. Przedstawiono jej Krzyżanowskiego i zaczął on malować portrety jej dzieci. Po jednym z seansów, który się przeciągnął dłużej, hrabina zaprosiła Krzyżanowskiego na obiad do restauracji hotelu, w którym mieszkała. Przy jednym ze stolików siedziała piękna gruzinka. Śniada cera, czarne, bujne włosy, na rękach czarny puszek, pod nosem widoczne wąsy. Krzyżanowski wpił w nią swoje kozackie oczy. Przez dłuższą chwilę milczał. Nagle ocknął się z tego zapatrzenia, chwyta hrabinę za łokieć wydekoldowanej sukni bez rękawów i ryczy:

— Grafini, patrz, jaki ta gruzinka musi mieć akt obrośnięty włochami.

Podobno hrabinę przeraziła niestyle ekscentryczność wyrażenia i obejścia, co obecność jej małych dzieci przy stole. Plotka o tem przemknęła lotem ptaka między polską malarją monachijską. Traf chciał, że do uszu Krzyżanowskiego doszło, iż powtarza ją nie malarz, tylko *ausgerechnet* — literat. Utalentowany wówczas bezsprzecznie, ale typ z pod ciemnej gwiazdy, jak się o nim Krzyżak wyrażał. Całe *odium* za tę plotkę spadło na niego, tak, jakby on ją pierwszy puścił. W tem przekonaniu Krzyżak nazajutrz rano wybrał się do niego na Schwabing. Literat mieszkał w małym pokoiku, z którego okna widać było cmentarz. Rano rozlega się trzeszczenie. To schody trzeszczą od ciężkich kroków Krzyżaka. Zapukał. Wchodzi. Stanął w progu i zasłonił swoją osobą całe drzwi. Przerażony literat, przeczuwając, iż ta wizyta nic dobrego nie wróży, skulił się na łóżku.

— Czy pan jest pan N...ski?

— Ja.

— To pan o mnie opowiedział tę paskudną historję, żeby mnie ośmieszyć? My, wie pan, nie jesteśmy dowcipni i na to odpowiadamy inaczej. Wiesz pan, jak? O, widzisz pan ten cmentarzyk. Jak to się jeszcze powtórzy, to przyjdę, wezmę pana, o, tak, kosteczki chrupną i złożę pana na cmentarzyku. Od tego czasu istotnie w żadnym z „sowizdrzalskich" tomów, wykpiwających w najprzeróżniejszy sposób malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy i wszelkiego rodzaju cyganów — niema nigdzie ani jednej wzmianki o Krzyżanowskim".

Pan Hiż kłamie, względnie zmyśla. I to od *a* do *zet*. Kłamiąc, powołuje się na dwóch nieboszczyków, którzy sprostować nie są dziś w możności t. j. na Krzyżanowskiego i na Protasewicza.

Sprostujemy więc bzdury i kłamstwa tego pana Hiża. Konrad Krzyżanowski w „małym pokoiku" bywał u mnie, ale nie tylko w Monachjum, ale w Warszawie w r. 1919-tym (Zgoda 8, 3-cie piętro), na co są liczni świadkowie. Szkicował mój portret kilkakrotnie w Monachjum i chciał robić portret w r. 1920-tym.

Hrabina, o której mowa, to pani Stadnicka z b. Galicji, która wraz z mężem (staruszkowie) zatrzymała się na jakiś czas w Monachjum. Żadnych dzieci nie mieli. Żadnych portretów nie robił. Ze Stadnickimi Krzyżanowskiego zapoznała p. Rychter-Janowska i niżej podpisany. Nie żaden obiad, a spektakl w *music-hall*'u *„Deutsches Theater"*. Nie żadna Gruzinka a Kreolka.

Nie potrzeba było tego epizodu mnie opowiadać *„ausgerechnet"*, bo sam przy tej scenie asystowałem. Na Schwabingu cmentarzyka nie było. Na Schwabingu *„ausgerechnet"* nigdy nie mieszkałem.

Kiedy natomiast już w r. 1919-tym, raz u siebie na Zgodzie Krzyżakowi zacząłem przypominać „na wesoło" moc epizodów i powiedzionek przemiłych z pierwszych miesięcy jego „przeniesienia się do Europy", zaśmiewał się do rozpuku i namawiał (wobec dziś żyjących świadków), aby to raz zebrać w kupę i go... opisać... Odnosił się do mnie zawsze z ciepłym respektem.

Albo więc ten pan Hiż z „Gazety Polskiej" sam to wymyślił, albo zmyślone powtarza.

Równie skłamana od *a* do *zet* jest wizyta Krzyżaka u Benniego, gdzie wedle p. Hiża bywało „co tydzień po kilkadziesiąt osób" *(sic)* i miało miejsce spotkanie Sienkiewicza z Krzyżanowskim. Wedle narracji kronikarza z „Gazety Polskiej" tak to było:

„Twórca Trylogji siedział na fotelu i rozmawiał o bieżących sprawach politycznych. Gospodarz domu przerywa na chwilę tę rozmowę i prezentuje:

— Pan Krzyżanowski, artysta-malarz.

Sienkiewicz unosi się nieco i, podając Krzyżanowskiemu rękę, wymawia swoje nazwisko. Kiedy Krzyżanowski, który nie znał Sienkiewicza, nawet z widzenia, dowiedział się nagle, kogo ma przed sobą, macha palcem przed nosem autora „Quo Vadis" i krzyczy:

— To się nie tak pisze powieści, panie Sienkiewicz!

Widocznie jednak nie zraziło to Sienkiewicza do zapalczywego portrecisty, skoro, jak głosi anegdota opowiadana przez Żeromskiego, bywał on później w jego domu".

Żeromski tak tej „anegdoty" nikomu nie opowiadał. Sienkiewicz przy prezentacji swego nazwiska nigdy nie... „wymawiał". To są maniery i styl towarzyski z kawiarni „Rzymskiej" i z ogródka „Kresowego" na Wareckiej. Dla Sienkiewicza swego czasu Krzyżak miał specjalny kult i na jego powieściach uczył się polszczyzny. Powiedzieć tedy do Sienkiewicza: „nie pisze się tak powieści" nie mógł i oczywiście nie powiedział i to przy pierwszem poznaniu *(sic)*. Tak bowiem ordynarnym, jak ordynarną jest wyobraźnia pana Hiżowa, ten „hajdamaka" (wedle epitetu p. Hiża) nigdy nie był.

Tak to mija się z prawdą i oblagowuje czytelników sanacyjnych ten pan Hiż, sukcesor Cezarego Łagiewskiego i Cezarego Jellentera.

Namnożyło się teraz wogóle dużo takich z pod ciemnej gwiazdy narratorów, zbierających skrzętnie „okruchy ze stołów pańskich", ochłapy, kości, ości, łupiny, śmiecie, odpadki i sprzedających te „reminescencje" sanacyjnym piśmidłom, gdzie taką sieczkę namiastkową jaś-nie-oświecone okkupaństwo konsumuje jako... „kawior". Dobrego apetytu!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Sanacyjny „Kurjer Poranny" poucza:

„Odmienianie poprzez wszystkie przypadki i liczby Brześcia dzisiaj jest równie bez korzyści, jak śmieszne było odmienianie swego czasu poprzez wszystkie przypadki i liczby: Kijowa! Nie traćmy czasu..."

Niezrównani są ci „sanatorzy", którzy na życie narodu nie potrafią patrzeć w inny sposób, jak ze stanowiska... reżysera programów rewjowych w teatrzyku. Kijów, Brześć — to już nudne dla nich, to z ubiegłego „sezonu"... Czyż warto procesować się i przypominać pt. publiczności, że te „numery" nie były udane? Patrzmy na nowe „przeboje"...

*

Niejaki Ryskalczyk, skazany sądownie za bandycką napaść na Adolfa Nowaczyńskiego w Teatrze Polskim, określany był przez swych kompanów, występujących w roli świadków obrony, jako „idealista", „gołębie serce"... Prawdopodobnie za tę „gołębiość serca" specjalnie ulubił sobie „idealistę" p. wojewoda Kostek-Biernacki, który wspomnianego Ryskalczyka ściągnął do Nowogródka, ofiarowując mu posadę sekretarza województwa...

*

Literatura Feldmana, poczęta niegdyś z ducha skombinowanego „Krakauerów" i „Bnai B'rithu" a zaadaptowana po wojnie, na krakowskim również warsztacie, przez p. Stefana Kołaczkowskiego, mówiąc o pierwszej „komedji amerykańskiej" Nowaczyńskiego („Nowych Atenach"), ze zwykłym brakiem objektywności wywodzi: „Chciał autor... coś i to coś niegłupiego powiedzieć, ale brak dojrzałości duchowej i pasja inwektyw podyktowała mu bezsilne złorzeczenie na idealizm w imię industrjalizmu i najopaczniej pojętego amerykanizmu".

„Najopaczniej!". *Ut figura docet*, przypisek: „Dr. Charles W. Elias, prezydent Uniwersytetu Harwarda (Feldman świadczy się Eliasem, a Kołaczkowski puszcza dalej tego kalibru „bujdę" A. D. 1930) pisze: „(My Amerykanie) jesteśmy narodem najbardziej idealistycznym, jaki dotychczas odziedziczył był naszą planetę".

Porównaj telegram „Pata" z 22-go b. m. o Hooverze, Lindberghu i Al Capone!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.